Nr. 2. Lwów, dnia 15. lutego 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ZAKONNIK LEŚNY.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Dokończenie).

Niezbyt wybredny na stosunki siedliskowe, wymaga jednak głuszec większych obszarów leśnych i pewnych wśród tychże spokojnych ustroni. Co do żywności, jest on w całem tego słowa znaczenia wszystkojadem — jagody rozmaitych krzewów leśnych, nasiona, pączki, owady, tychże jaja i gąsienice zjada, jak wogóle wszystkie kniejotki, oprócz tego spasa szpilki drzew — połyka drobne gałązki, przyczem pijąc wiele wody, połyka zarazem mnóstwo drobnych kamyczków. W pewnej porze roku znaczną część żywności stanowią właśnie te w końcu wymienione szpilki i gałązki; znaleźć je można zazwyczaj w porze igrzyskowej w żołądku głuszca, zmieszane z białemi kamyczkami wielkości soczewicy lub siemienia.

Trudno przypuścić, aby mało odżywczy ten pokarm, a osobliwie w największej ilości znajdywane tam szpilki sosny, świerka lub jodły, które pod wpływem soków żołądkowych czerwonemu podlegają zabarwieniu, podtrzymać mogły organizm tak silny; prawdopodobnie zatem łatwo strawna żywność ze świata zwierzęcego usuwa się niezbyt ścisłej obserwacyi myśliwego, a uwagę całą zajmuje mieszanina czerwonych szpilek z kamykami, wcale nie podobna do jakiejkolwiek żywności ptasiej. Pobieranie łakome i w wielkiej ilości tych materyałów musi jednak mieć jakiś cel fizyologiczy.

Być może, iż stan wygórowanego szału miłośnego, w jaki wpada ptak podczas pory igrzyskowej, potrzebuje realnego bodźca, którym są właśnie eteryczne oleje i żywicowe części igliwa i drobnych gałązek, że potrzebuje również współdziałania twardych krzemowych kamyczków, aby łatwiej roztworzyć mechanicznie te trudno-strawną żywność. Olejek eteryczny drzew szpilkowych powiększa wydzieliny żołądka i kiszek, wzmaga ruch robaczkowy — ozonizuje krew, pobudza tętno przez podrażnienie wazomotorycznych nerwów, podnosi przeto ciepłotę ciała i cały system nerwowy do większej energii i działalności popycha. I rzeczywiście w zachowaniu się głuszca na igrzysku spotykamy objawy skutku tych środków. Wielkiego zaiste potrzeba podrażnienia nerwów, dużo ozonu we krwi, aby organizm wprowadzić w stan, w jakim oglądamy ptaka o tej porze; silnego trzeba ruchu robaczkowego w przewodzie pokarmowym, aby nastąpić mogły tak obfite i częste wypróżnienia, na co uwagę zwrócił już autor Myśliwstwa ptaszego: „Tam patrzaj, gdzieby choina była cudna, podniosła, gałęzista, a coby ptacy popruszyli“.

W języku naszym głuszec posiada bardzo wiele nazw. Po prostu głuszcem zwią go „Myśliwstwo ptasze“ i Rzą czyński, głuchym cietrzewiem Siennik, głuchcem, głuszkiem Klein, jendorem dzikim albo guturem lud w paśmie czarnogórskim, kniejotkiem głuszcem Wodzicki, głuszcem właściwym Tyzenhaus, głuchoniem lud w niektórych miejscowościach Karpat, głuszcem pospolitym Jundziłł. W niektórych dawniejszych dziełach spotykałem się z nazwą „głusiec“, którą jeszcze gdzieniegdzie można usłyszyć od myśliwych. Nie ma podobno nazwy w obcych językach, któraby tak prawdziwie określała przyrodę tego ptaka, jak to czynią nazwy nasze. Ani Buffona *Le grand coq de bruyère*, ani angielska *the cock of the wood* ani wreszcie niemiecka *Auerhahn*, *Auerwild*, *Mooshahn* nie wyrażają głównej charakterystyki tego gatunku. Snać nasi myśliwi przeczuli właściwość jego i ochrzcili go trafną nazwą, zanim ścisłe dochodzenia i skalpel nauki nie odkrył w istocie u głuszca chwilowej głuchoty podczas gry tokowej. Oto głuszec nie słyszy nic w chwili t. z. „ostrzenia“ czyli „szlifowania“, a to w skutek mechanicznego zatkania przewodu słuchowego fałdem skóry, nabrzmiałej zahamowaniem odpływu krwi, jaki tu przez nacisk na tenże fałd ramienia szczęki dolnej 26 mm. długiego powstaje, gdy dziób podczas ostrzenia szeroko się otworzy. W ten sposób, trudny do zrozumiałego opisu, tłumaczy głuchotę chwilową głuszca Dr. Wurm, specyalista na tem polu, w swem pięknem dziele *(Das Auerwild 2 Aufl. Wien 1885)*. Dla praktyki myśliwskiej ważna stąd wypływa nauka co do zachowania się w łowach, gdy upadły dawne wierzenia, po-i sądzające głuszca o zupełną nieczułość w chwili recytowania ostatniego ustępu miłosnego pienia. Prawdopodobnie w chwil ogłuszenia głuszec widzi dobrze, a choć błądzi wzrokiem zachwytu po siódmem niebie Mahometa, to przecież przebiega nim i swe otoczenie ziemskie i dostrzedz może odkrytego myśliwego.

Zwierzostany głuszców, jakie się w chwili obecnej znachodzą na ziemiach naszych, w bardzo tylko niewielu siedliskach do świetnych zaliczone być mogą. Leży to już w niezgodliwej naturze tego ptaka, że i w najbardziej odpowiednich stosunkach gęsto on kniei nie zaludnia. Nadmiar młodych kogutów, ustępując z placu boju, szuka sobie nowych dalszych „biesiadowisk“ wabiąc za sobą i piękniejszą połowę rodu, a w starych siedliskach pozostają uparcie starsze ptaki, obierając systematycznie rok w rok te same drzewa, ba nawet te same gałęzie, szczególnie przydatne na estradę koncertową. W regule głuszce grają na drzewie, jednak zdarzają się toki i na ziemi. To uparte trzymanie się pewnych miejsc w grze tokowej, jest wprawdzie bardzo wygodną rzeczą dla myśliwego, pozostaje mu bowiem tylko śledzenie igrzysk młodych po pierwszy raz grających głuszców, jest jednak fatalnem, gdzie silnie rozwiniętą jest praktyka kłusownicza w tym kierunku.

W stosunkach naszych, o ile sądzę, rola szkodliwa kłusownika dla przyszłości zwierzostanów głuszcowych spada do bardzo małego znaczenia. Chłop nasz kłusownik nie bardzo łakomi się na takie ptactwo, które już swą rzadkością zdradzić go może, woli on zająca, którego sam widok już go wprawia w rodzaj gorączki, woli sarnę — wreszcie pospolite ptactwo — o order zielonej ruszczki wcale mu nie chodzi.

W dzielnicy ziem naszych pod berłem rakuskiem, najwięcej jest głuszców we wschodniem paśmie Karpat, a mianowicie w paśmie Czarnogórskiem, koło Kut, Kosowa, Nadwórny, dalej w Kałuskiem, w Dolińskiem, w górach Stryjskich koło Turzy wielkiej i koło Skolego. Niemal wytępionym jest głuszec w środkowych Karpatach, a znów nieco gęściej pojawia się na zachodzie w Limanowskiem, w Nowotarskiem i w Bielskiem. Na równinach przebywa w lasach Rozwadowskich nad Wisłą.

Już dawno zatracił się głuszec na północnych kresach Żmudzi, natomiast w wielu większych lasach Litwy, na Polesiu, a szczególniej w Mińskiem grają jeszcze głuszce jak za dobrych dawnych czasów. W gubernii Augustowskiej słynne są: Gryszka buda, Pilwiszki, Pomorze, Hajowa, Balinki, Augustów. W Sandomierskiem uważano niegdyś mieszane lasy Świętokrzyskie za ojczyznę głuszca polskiego. Przebywać on tu miał w nadzwyczajnej ilości w drzewostanach modrzewi, jodeł, sosen, grabiny i dębiny, a i dziś znajduje się w swych ukochanych siedliskach w paśmie najwyżej wzniesionem ponad poziom morza na równinie Królewstwa.

Rzadkim jest głuszec w Lubelskiem, jednak trafia się w lasach nadbużańskich, koło Stulna, Dubienki, Rahołup — w ordynacyi Zamojskiej. W Radomskiem ma być w Kozienicach, na Mazowszu w Lubochnie, w Płockiem nad Narwią i Bugiem, a dopiero w ostatnich czasach zaginąć miał w lasach Łęczyckich. Na Wołyniu słynie z głuszców Grabowa buda w sosnowych lasach Sławuty, Antoniny i w. i.

Nie chcąc przewlekać tej topograficznej za głuszcem wędrówki, powiem wreszcie, że w wielu bardzo miejscowościach pojawiał się ten miły gość sporadycznie w ostatnich czasach, w wielu zaś zamilkły od dawna i oby nie na zawsze „puhania“ głuszców. (Używam tego wyrazu za wzorem Hieronima Morsztyna w „Bajce o banialuce“ Kraków 1650).

W ręku i w dobrej woli myśliwych leżą środki uratowania od zagłady tego powabnego ptaka, który, jak to poucza dostatecznie praktyka łowiecka na zachodzie, wcale nie jest skazany na zagubę jakoby twór dziewiczej lasów przyrody, nie licujący z dzisiejszym stanem kultury. Ten „prakogut“ Niemców, godzi się w swych pokoleniach ze zmiennym stanem rzeczy — jak to najlepiej udowadnia łowiecka statystyka. W r. 1892 padło w całej Przedlitawii 5143 głuszców

a z tego w Styryi	1565	„
w Czechach	1128	„
w Tyrolu	776	„
w Karyntyi	420	„
w Niższej Auustryi . . .	396	„
w Górnej Austryi . . .	367	„
i — wstyd powtarzać — w Galicyi .	85	„

Jędrność wymowy cyfrowej uwalnia od komentarzów. Nie żądam od statystyki czegoś więcej nad to, co ona dać może, a to co podaje, jest wielkiem dla stosunków naszego łowiectwa upokorzeniem; — w całem długiem, pięknem paśmie Karpat, w siedliskach sławionych pierwoborów, ledwo kilkudziesięciu zdobyło tę gdzieindziej dość pospolitą trofeę prawdziwie wielkiego myśliwstwa.

Poświęcając luźne wspomnienia głuszcowi, niepodobna mi zapomnieć o oryginalnym ptaku, niby głuszcu, niby cietrzewiu, który należy u nas do rzadkości, w północnych zaś dzielnicach ziem naszych dość często się spotyka. Jestto t. z. przez dawnych myśliwych *Skrzekot*, po litewsku *Gargatunas*, ptak pod względem kształtów i upierzenia pośredni pomiędzy głuszcem i cietrzewiem. Tyzenhaus zwie go głuszcem średnim (*Tetrao medius*) i znaczna część ornitologów używa tej nazwy, uznając w nim odrębny i samoistny gatunek. Inni, niby dla lepszego obałamucenia szerokich kół, jak to jest w zwyczaju powszechnym, wytwarza cały las nazw łacińskich, tak, jakby na fonetyce nazwy wiele zależało; jest tam *T. hybridus*, *T. intermedius*, *T. urogalloides*, *Urogallus minor* a wreszcie *T. punctatus*.

Jest już niemal pewnikiem, że skrzekot (*Rackelhahn*) nie zasługuje na nazwę stałego gatunku, jak tego chce wśród innych i nasz Tyzenhaus, któremu dostarczyć miano z nad granicy kurlandzkiej trzy egzemplarze skrzekotów z Rakiszek, z lasów, w których cietrzew jest rzadki a głuszec już dawno wytępiony. Przeciwnie doświadczenia nowszych czasów a nawet rzekomo udanie się eksperymentu z cietrzewiem i głuszycą (*Н. Нас̂е 1. JZ. XIII. 163*), degradują skrzekota do rzędu bastardów o małej lub wcale żadnej sile rozpłodczej. Niemniej przemawia za tem fakt pojawienia się skrzekotów w górach szkockich po sztucznem wprowadzeniu głuszców w tych siedliskach, w których z dawien dawna były cietrzewie. Fakt ten zasługuje na tem większą uwagę, bo niemal równocześnie miał się wydarzyć w Szkocyi w Braemar szczególny wypadek zapłodnienia zwykłej kury przez głuszca (*Gabinet des Thierreiches. W. Jardine tłumacz. Dr. Dietzman s. 35*). Rezultatem tego zapłodnienia był jeden bastard, podobny do ojca. Zdania myśliwych jakoteż ornitologów, uznających w skrzekocie bastarda, nie zgadzają się co do płci rodziców. Według jednych jest to płód z głuszycy i cietrzewia, drudzy zaś każą głuszcowi być ojcem a cieciorce matką skrzekota. Roszcząc sobie prawo do wolności głosu w tym względzie — gdyż głos ten zupełnie tyle mnie kosztuje co i zdania innych — może pogodzę choć w części zwaśnione zdania, mówiąc: oto wszyscy panowie macie słuszność — skrzekot powstaje z głuszycy i cietrzewia, innym zaś razem z cieciorki i głuszca, a nie wykluczoną jest możliwość, że wobec jakiej takiej płodności bastarda powstają znów komplikowane mieszańce ze skrzekota i głuszca, lub cietrzewia, zwłaszcza w pierwszem pokoleniu, z czego powstaje u skrzekotów ta dziwna rozmaitość wielkości, kształtów i barwy. Gdyby było inaczej, gdyby zawsze tylko pewne płci gatunków łączyły się sobą, to i wynik takiego połączenia byłby więcej jednostajnym.

Jeżeli skrzekot jest bezpłodnym, jak to po największej części bywa u hybrydów, na których powstanie złożyły się dwa gatunki, w takim razie losy takich nieszczęśliwych istot niezbyt ciekawą przedstawiają kartę; jeżeli jednak istnieje tam jakaś, bodaj słaba siła płodności, to dalsze płody, jak to już pouczyły analogiczne doświadczenia z innemi zwierzętami, przybierają z czasem całkowicie charakter jednego z prototypów rodzicielskich, z których początkowo powstały, bo prawo powrotu w pokoleniach do typów rodzicielskich przy mieszaniu gatunków, postawiła natura niejako na straży stałości indywidualnych cech gatunków. Nie wytwarzają się tam na zawołanie nowe gatunki, a jeżeli powstają bastardy, to i giną wkrótce, przyroda zaś dalej zachowuje swą rozmaitość kształtów, barw i wielkości — inaczej wnet splynełyby odrębne gatunki w jeden typ pośredni, jakieś twory szare, bez wybitnych cech indywidualnych, zaludniłyby ziemię.

Prawo powrotu, przypuściwszy jakąś siłę rozpłodczą u skrzekota, przeciwważy i tu prawom dziedziczności, podobnie, jak to objawiło się po długich doświadczeniach przy krzyżowaniu zajęcy z królikami. Płody, pochodzące z tego połączenia, t. z. leporydy czyli zajęczaki, podawały już różową nadzieję utrzymania w stałości tych hybrydów płodnych. Niestety jednak i tu wyradzają się wreszcie albo zające albo króliki. Pozostał wprawdzie jakiś ślad z leporydów, bo łatwowiernym sprzedają i po dziś dzień t. z zajęczaki, ale nie ma tam ani śladu zająca; są to tylko mianem leporydów ochrzczone króliki normandzkie.

Wprawdzie nieznanemi są dowody płodności skrzekotów, jednak jest to rzeczą z analogii przypuszczalną według słów słynnego A. Quatrefages'a, który mówi: „Liczba płodnych mieszańców jest bezwątpienia ograniczoną, niemniej jednak istnieją one rzeczywiście“. (Teorj. przeobraż p. 217).

Od r. 1892 zajmuje się o ile mi wiadomo dyrektor muzeum zoologicznego w Dreźnie p. Mayer badaniem ustroju płciowego skrzekota, i w tym celu prosi w dziennikach fachowych o przesyłanie mu zabitych ptaków, które następnie w pięknie preparowanym stanie zwraca. Czyli mu się to uda na egzemplarzach zabitych, pozostawiam do rozstrzygnięcia czasowi i specyalnym znawcom tajemnic ustroju płciowego.

Trudno się zdobyć na opisanie skrzekota; wprawdzie próbował to uczynić p. Taczanowski w swem pracowitem dziele (Tom II str. 46) ale sądzę, że opis ten odnosi się tylko do pewnego okazu, który ten sumienny ornitolog miał przed oczyma. W ogólności są u skrzekota nieskończone a subtelne waryanty kształtów i upierzenia, co można widzieć między innemi na kilku pięknych okazach w muzeum im. Dzieduszyckich. Podczas gdy ogół cech zewnętrznych skrzekota jest bardzo odmienny, ogon przedstawia pewną stałą różnicę pomiędzy głuszczem a cietrzewiem. U głuszca jest on sztywny, wachlarzowaty i okrągły, u cietrzewia nadzwyczaj miękki, a trzy skrajne sterowki lirowato na zewnątrz skręcone i znacznie dłuższe od średnich. Otóż u skrzekota jest ogon dość sztywny, lecz zarazem widłowaty, bo skrajne sterówki są o dwa palce dłuższe od środkowych i tylko bardzo słabo na zewnątrz wygięte.

Nazbyt upokarzająca cyfra ubijanych rocznie głuszców w kraju naszym, nie jest jedynie skutkiem rzadkości tego ptaka, lecz także słabego zainteresowania się tym ptakiem w kołach myśliwych. I tutaj obracamy się w błędnem kole: przedmiot nie bardzo poszukiwany staje się już dlatego samego rzadkim, i na odwrót, zwierz rzadki, z którym trudno się spotkać, odbywszy z kosztem i trudem dalszą wycieczkę, nie budzi większego interesu świata myśliwskiego i nie zaostrza czujnego oka miejscowej ochrony i poszanowania tego zwierzostanu. Dwa te objawy łączą się wzajemnie i składają się na ten wielki skandal, jakim nas kłuje w oczy statystyka łowiecka. Znosimy już i tak dosyć upokorzenia przytaczając inne rubryki statystyki i porównywując je między sobą, czyż jeszcze tego zamało, czyż ma dopełniać i cyfra statystyki głuszczowej miary upośledzenia naszego kraju pod względem łowieckim? Zdaje mi się, że tak być niepowinno, że ptak, wymagający tylko subtelnej ochrony, ale żadnych sztuczek hodowli, może i powinien zdobić gęściej piękne lesiste pasmo naszych Karpat, powinien na przyszłość odznaczać się większą rozmnożą a przynajmniej równać się co do powierzchni siedlisk zwierzostanowi głuszcowemu innych krajów na zachodzie.

Ale muszę stanąć i w obronie honoru głuszcowych łowów, chociaż obawiam sie, że tą obroną wyświadczę tymże rodzaj niedźwiedziej przysługi. Oto cyfry statystyczne ubitych w kraju naszym głuszców wydają mi się stanowczo za niskie; jestem pewny, że wiele głuszców naszych, przepląsawszy swój żywot wśród mieczów i osiągnąwszy wiek dojrzały, pada nie zapisawszy się na kartach statystyki, i tylko echa borów powtarzają strzał, w którym skonało życie najszlachetniejszego reprezentanta naszego ptactwa leśnego. A to przecież krzywda dla ptaka wielkich łowów, krzywda dla świata myśliwskiego, szkoda dla administracyi łowieckiego rewiru, która, posiadając w swem wnętrzu takie skarby dla duszy myśliwskiej, nie stara się, aby je lepiej zużytkować, i tem samem nabrać wiekszej ochoty do ochrony i lepszej rozmnoży tyle cenionego zwierzostanu.

Śmiesznie wielkie sumy płacą bogaci Albionu synowie za prawo ubicia jelenia, zaprowadzonego sztucznie w górach szkockich, gdy konkurencya wełny australskiej podkopała tamtejszy chów owiec; na stokach Kjöllenu Skandynawskiego przebiegają rok rocznie z całego świata żądni wrażeń myśliwi, dybiąc za łosiem, do którego za bardzo wysoką cenę kupują prawo strzału — podobnych przykładów mógłbym jeszcze wiele przytoczyć — dlaczegóżby głuszec, którego łowy na igrzysku są częstokroć przedmiotem nigdy nieziszczonych marzeń, nie wabił chętnych, którzy chcą i mogą z łatwością ponieść znaczne ofiary materyalne w zamian za krzepiącą ciało i ducha szlachetną rozrywkę? Dlaczegóżby przynajmniej w lasach, mających to nieszczęście, że nie posiadają właściciela myśliwego, nie miało się otworzyć szersze pole do szlachetnych wrażeń dla kół prawych myśliwych? Kto ocenia znaczenia łowiectwa samą tylko wagą i ceną zdobytego mięsa, ten się grubo myli — i temu odpowiem apostrofą Szyllera, skierowaną ku sztuce, która jednak i do łowiectwa może być zastosowaną, tj. że łowiectwo jest dla jednej części myśliwych tylko dojną krową, która żywi, dla innych zaś wspaniałą upajających rozkoszy boginią. Do dziedzin głuszcowych nie dziw, że tęsknią myśliwi, w których gore szlachetna żądza zbliżenia się do czarów swobodnej przyrody; ci z drżącem sercem pospieszą na igrzyska głuszcowe, jeżeli administracye łowieckich rewirów zechcą publicznie ogłosić przybliżony etat przeznaczonych do odstrzelenia głuszców. W ten sposób urosłaby także potężna opieka nad zwierzostanem głuszców, i zdziałałoby się tyle, ile żadna na świecie ustawa przeprowadzić nie może.

* *

*

Pragnąc i szersze koła zachęcić do szczerego zajęcia się tą sprawą, i obudzić drzemiące uczucia smaku do tej romantyki łowieckiej, kończę mą pracę opisem igrzysk głuszcowych w ramach, w jakich się one zwykle przedstawiają, pominąwszy kapryśne modyfikacye, zależne od temperatury, pogody, pory kalendarzowej i wieku ptaka.

Śniegi zalegają jeszcze stoki karpackie, gryzie je w dzień coraz to wyższym łukiem posuwające się słońce, a wstąpiwszy wreszcie w zodyakalny trop Barana, z każdym dniem obnaża coraz większe powierzchnie z ich kilkumiesięcznej szaty zimowej. Wilgoć i ciepły promień wywołują z łona ziemi pierwsze zwiastuny zbliżającej się wiosny; już niektóre kwiatki wychylają swe główki, strzelają pojedyncze piórka trawek drobniutkich przerywając monotonią płowego z liści kobierca, a i las sam, szczególniej drzewa liściaste, widoczne okazują w swych koronach zmiany, nabrzmiewają pączki, kora świecącemi stroi są połyski, widać tam już ruch i życie pod wpływem coraz to wyższej ciepłoty powietrza. Niewiele tam jeszcze dojrzy niewtajemniczone oko, a jednak w okół czuć przedświt nowego życia, które niezadługo w tak wspaniały sposób tryśnie z łona na pozór śpiącej natury. Mniej więcej o tej porze poczyna się palić pochodnia głuszcowych hymenów, a gdy już raz się zapali, to świeci coraz to żywszem światłem i nie zdołają przygasić tych ogni grymaśne wspomnienia zimowe naszego klimatu.

Niebo pogodne — wnet zapadnie świetlana tarcza za ścianę lasu górskiego, teraz ukośnemi promieniami oblewa krajobraz, wytwarzając istne cuda światła i cieni, i w fantastyczny sposób pogłębia naturalną rzeźbę ziemi ogromną skalą barwnych wrażeń. Ale już tonie słońce w koronach starej jedliny, uciekają coraz to wyżej ciepłe barwy światła, złocą i czerwienią wierzchołki drzew, a wreszcie i stąd znikły. Oddalone szczyty gór jaskrawą zaświeciły łysiną — zgasły — zagasł dzień dla tego paska ziemi, i szary rozległ się krajobraz pod żarowem niebem. Stadko niewielkie szpaków na pobliskim buku ćwierka nieudolną swą pieśń wieczoru, z odległej debry bębni gołąb, zakracze kruk przeraźliwie — a w okół rozmaitemi tony piszczą sikorki. Ostatni miot przepędza krzykliwy bargiel, odzywając się ze szczytów drzew donośnym niby dzięcioł głosem. Ale zwolna milkną ptasie głosy, zimny wiatr powiał górą, smutnym szelestem zagrały od północnej strony korony drzew, to stary arfiarz puszczowy jęczy teraz swą pieśń ponurą, trzęsąc zwisłą brodą siwych drzew porostów. I przeleciał smutnej melodyi muzyk, zapanowała cisza, a duch nocy zaciąga coraz to wyżej od wschodu swą ołowianą oponę, pędząc przed sobą coraz dalej purpurę wieczornego brzasku — wreszcie wyjrzało kilka gwiazd na przyćmionem niebie.

Zapóźnił się nieco nasz gorący trubadur, teraz leci od strony gęstego zapustu warczącym niby kipiąca woda lotem, wznosi się coraz wyżej i usiada z donośnym szelestem na swą ulubioną gałąź. Widocznie szuka jak najwygodniejszego siadła, obraca się po kilka razy, spaceruje wzdłuż gałęzi, wyda kilka tonów, jakichś urywków swego odwiecznego pienia, zmyli je, rozpocznie z innego tonu, i coraz to subtelniej, coraz to ciszej brzmi jego głos na tle ciszy wieczoru, coraz gęściej zapalają się nieznane światy na niebie... Głuszec już drzemie, kona powoli senny głos — głuszec już spi, zwróciwszy się dzióbem ku wschodowi i śniąc o czarach rannego przebudzenia.

Spij w miłych marzeniach szlachetny ptaku! Gdy wśród gorących zachwytów spotka cię srogi los wszystkiego co żyje — to zginiesz piękną śmiercią u szczytu rozkosznej ekstazy. Z taką czysto ludzką pociechą pozostawmy głuszca na jego gałęzi — czas już ogrzać zmarzłe członki przy ognisku koliby i spocząć nieco, gdy dla duszy i ciała stało się zadosyć. Mówię „nieco“, bo zazwyczaj rozgorączkowanie, bojaźń zaspania pory igrzyskowej a wreszcie niezbyt wybredne wygody dziurawej koliby, nie pomagają głębokiemu snowi. Ot, drzemie się urywkowo jak mysz na pudle.

W lesie słychać jakiś szelest, łomot suchych gałęzi, chrapie tam coś ponuro, niby zwierz prześladowany w gęstwinie, niby odyniec, kłapie wreszcie niedaleko, i wyraźnie słychać przeraźliwy i jakby drwiący głos człowieka. Cóż to? może zaklęty łowiec odwalił swą pieczarę i odbywa nocne swe łowy? Gdzież tam! — spoczywają w swych podziemiach legendowi rycerze — to tylko wiatr dorywczy zatrząsł konarami, połamał suche gałązki, a nocny bandyta, ogromny puchacz, przelatuje niskim lotem i woła ciesząc się ułowioną zdobyczą.

A ileż to takich nocnych dramatów leśnej natury odegra się dokoła tej dziurawej budy? Na gruncie odrobiny realnej prawdy wrażliwy duch buduje gmachy fantastyczne i w pół sennie w pół na jawie zbiega czas, aż wreszcie już i wschód cokolwiek zaczyna się odróżniać od reszty nocnego nieba. Jeszcze ciemno na świecie — tylko na wschodnim nieboskłonie jaśniejsze nieco znaczą się pasma. Nasz kochanek już nie spi, ale zajęty toaletą, strzepał pióra, rozglądnął się w około, pogładził dzióbem rozburzoną suknię, znów się nastroszył, przeszedł się po gałęzi — zgładził się wreszcie, a spojrzawszy jeszcze raz na swe otoczenie, wydał pierwsze tony swego pienia, które napróżno w brzmieniach ludzkich wyrazić chcemy; jest to zawsze tylko karykatura w braku gardziołki stworzonej do takich głosów: „ted“ — pauza — „ted“ coraz to prędzej i kilkanaście razy powtórzony, przyczem w końcu tylko już ed, ed, słychać, potem

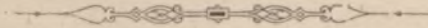
„gdak, gdak“, a jest to tak zwane główne przełykanie, najgłośniejsze w całem pieniu, poczem następuje ostrzenie czyli szlifowanie: „heide, heide“.... ośm razy powtórzone i kończy się „heiderai“, — chwila, w której się ptak ogłusza. Pierwsze pienia na tle ciszy, jaka o tej porze panuje, dochodzą wyraźnie ucha w oddaleniu i 300 krokow, ale czem bardziej wschód jaśnieje, czem więcej odzywa się innych głosów ptactwa witającego zorzę poranną, tem bardziej gubi się subtelny spiew głuszca, spiew, o który nie posądziłby nikt tak potężnego ptaka. Z początku, po odegraniu całej zwrotki, ptak pauzuje, rozgląda się — później pauzy coraz stają się krótsze i rzadsze, wreszcie wpada w coraz to większy zapał, powtarza zwrotki bez wytchnienia, a tylko niespodziewanie, gdy coś szczególniejszego zwróci jego uwagę, prostuje się ptak i śledzi bacznie swe otoczenie. Są to najkrytyczniejsze chwile przy podchodzeniu. Zdarza się, że zmyli zwrotkę, zamiast ostrzyć poczyna gdakać, wreszcie znów wpada w zwykły porządek i recytuje swą odwieczną pieśń. Powtórzywszy 80 200 razy, co już z pauzami do 25 minut trwać może, (bo pojedyncze zwrotki zwykle w czterech sekundach wygłasza), dozwala, jak to łatwo obliczyć, podejścia na bardzo daleką metę, gdy myśliwy korzystając z chwili szlifowania za każdym razem o dwa lub trzy kroki się zbliży.

Podczas gry, jakkolwiek zachowuje się głuszec w ten sposób, że możnaby go posądzić o szaleństwo — bo przybiera rozmaite pozy i rozmaitą pantomina uzupełnia swe pienia — bardzo rzadko kiedy przedstawia się w tak przesadnej postaci, jaką mu nadają zazwyczaj preparatorowie. Pojedyncze objawy podczas gry, a mianowicie dostrzeżone nieraz spadnięcie ptaka z gałęzi wskutek nieoględnego stąpania, każą się domyślać, że ptak oprócz głuchoty podczas szlifowania staje się chwilowo niebacznym na wszystko, i że silne uczucia erotyczne są w stanie wykoleić go ze zwykłej równowagi pomimo wrodzonej wielkiej przezorności i płochliwości. Są to chwile, decydujące częstokroć o jego egzystencyi, pominąwszy już głuchotę, wytłumaczoną poniekąd na gruncie anatomicznym. O takiej ekstazie erotycznej nowsi autorowie, chcący wszystko zgłębić sondą i skalpelem, wcale słyszeć nie chcą, — *„von einer Verzückung kann absolut keine Rede sein“*, powiada p. A. Ludwig (*I. J. Z.* 1894. p. 294), — ale twierdzenie to błednie wobec tego, że ten znawca przyrody głuszca wypowiedział je pod wrażeniem odkrycia przyczyny głuchoty przez Dra Wurma, błednie tem bardziej, gdy się przeczyta całą piękną monografię głuszca Dra Wurma, gdzie autor naprowadza spostrzeżenia na igrzyskach, mogące li tylko potwierdzić starą wiarę o istnieniu u głuszców pewnego zobojętnienia podczas gry tokowej, wiarę, gubiącą się w mrokach dziejów łowiectwa.

Sądze, że najrozmaitsze, nieraz wprost sprzeczne podania myśliwych wiarogodnych co do zachowania się głuszców na igrzysku, polegają w wielkiej części także i na indywidualiźmie ptaków, które przypadek sprowadził przed oczy myśliwego. Zdarzają się wyjątkowo głuszce, pochodzące z jakichś odludnych i dzikich ustroni, które z praktyki nie wiedzą nic o niebezpieczeństwie grożącem ze strony człowieka, a tem mniej z wylotu czarnego rury metalowej. Ptaki te jakby w pierwszym dniu stworzenia spoglądają na cały świat okiem naiwnego zachwytu. Inne znów, doznawszy poprzednio obrażeń, kontuzyj, i niedomagając fizycznie, również w dziwny sposób zachowują się wobec zasadzek człowieka. Oba te wypadki podają sposobność do przytaczania niewiarogodnych epizodów i ściągają na myśliwych posądzenie najniesłuszniejsze o zbytnie hołdy dla klasycznej lingwistyki.

Są to jednak zawsze wyjątkowe wypadki, zagadkowe przygody, zaostrzające umysł do badań, ale nie mogące mącić i podkopywać ogólnych wyobrażeń o cechach gatunków. Dopokąd myśliwy z morderczem narzędziem czychać będzie na chwilę wygodnego strzału, dotąd dziedziczyć i potęgować się będą w pokoleniach samozachowawcza przezorność, płochość i czujność.

Ale też i mordercze instynkta uzurpatora ziemi łagodnieją i nie mogą trwać na długą metę, gdy go otoczą czary wiosennej przyrody i gdy wraz z ptakiem utonie w peanach wiosennych zachwytów.



Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Ciąg dalszy).

Tak płyniemy ze dwie godziny. — Mgła się rozchodzi powoli. Panorama dotąd monotonna zmienia się nagle, gdy mijamy skałę „Czinga-Czinga“, a góra Morambala ukazuje nam się w całym swym majestacie, ukoronowana gęstemi chmurami, które otaczają wyniosłe jej czoło. Tu rzeka podmywa podnóża górskie i w fantastycznych zakrętach otula skaliste brzegi, niby szukając cieniu pod olbrzymiem jej cielskiem. Ochłodziwszy się nieco powiewem z gór, idzie się połączyć z siostrą swą Zambezą.

W południe przesuwamy się około piaszczystej wysepki — a że żołądki upominają się o swoje prawa, zatrzymujemy się tu na obiad.

Ledwie wskazałem ręką gdzie przybić mamy, gdy łódź już była u brzegu a czarni na wyścigi powyskakiwali na piasek. Powstał gwar i zamięszanie ogólne. Jeden ciągnie swoją „fumbę“ aby się na niej rozłożyć — drugi wydostaje garnki, inny już sięga do worka z ryżem i surowem ziarnem zapycha gębę, a reszta rozdmuchuje ogień, wśród krzyków, nawoływań i czysto kaferskich przekleństw. Nie rzadko usłyszy się taki dowcip, który przetłumaczony na nasz język wydałby się płaskim, ale w ich mowie — raczej w ich stosunkach i sposobie myślenia—jest wybornym, i zabawia całą gromadę. I prędko tak im schodzi czas przy gotowaniu.

A wesoły to jest ludek ci Mazarczycy. Mają oni w sobie coś cygańskiego. Nigdy długo nie usiedzą na miejscu, w ciągłej są podróży. Najmują się jako wioślarze do łodzi Europejczyków, lub też sami przedsiębiorą wyprawy kupieckie w tak zwanych „almandyjach" czyli kanoach, wyciosanych z jednego pnia drzewnego. Są oni bezsprzecznie doskonałymi marynarzami, a woda ich żywiołem. Noszą też nazwę „mono-madżi", co w języku ich oznacza: dziecię wody. Należą oni również do tak zwanych Aczikundów — tj. plemion zamieszkujących pobrzeże dolnej Zambezy a zostających pod władzą Portugalczyków—zaś nazwa ich Mazarczyki pochodzi od dystryktu Mazaro, gdzie właśnie najlepsi wioślarze się wywodzą. Są wesołego usposobienia, nieco blagierzy, tchórze w niebezpieczeństwie, a krzykliwi i kłótliwi, gdy dobrze idzie. Całe życie spędzają na rzece, a znają ją, jak my naszą kieszeń, a może i lepiej.

Kiedy słońce wskazało, że ma się ku drugiej, ruszamy dalej. Chłopcy pakują garnki i fumby[3]) i ze smutkiem chwytają za wiosła, bo woleliby tu baraszkować jeszcze z godzinę lub dwie, a nawet tu nocować.

Ale „muzungu"[4]) już w łodzi — pilot także — trzeba się godzić z losem i jechać. Wiosłują więc znowu — znowu śpiewają — a łódź sunie naprzód i naprzód bez przestanku, aż do zachodu słońca. W tym czasie zatrzymujemy się powtórnie i teraz już na nocleg. Dzień pierwszy podróży się skończył.

Następnego poranku zostawiwszy za sobą Morambalę, wydostajemy się na tak zwane bagna morambalskie. Tu trzciny, papyrusy, dzikie malwy, rhicinus, i rośliny pnące pokrywają niskie brzegi. Jednostajność przerażająca. Czasem tylko dostrzega się, ponad ten żywy płot, pasma gór zamykające tę dolinę, po której Szira swoje mętne toczy fale.

Ptactwo wodne zrywa się chmurami przed łodzią i z krzykiem usuwa w głąb trzcin i zarośli. Co chwilę ciągną sznury gęsi, „tozkwe" zwanych, a wysoko w błękicie ukryta rybitwa szczeka bez przestanku rozdzierającym głosem.

Woda pokryta pływającemi roślinami. Podobne one są do głów sałaty lub kapusty, co im też przyniosło nazwę „floating cabbages" w języku angielskim i rzekłbym — bardzo trafnie [5]). Niekiedy tworzą one całe wyspy i suną z prądem, a oplecione powojami i innemi roślinami, są nieprzebytą zaporą; podróżny musi się mieć na baczności, by się nie dostał w ich objęcia.

Kurki wodne, o komicznej budowie ciała, o bardzo długich palcach, z ogonkiem, który w ciągłym jest ruchu — biegają bez przestanku po roślinach. Przeskakując z rośliny na roślinę, wydobywają takowe korzonkiem ponad wodę — szukają za owadami, które tam się gnieżdżą, a czynią to z taką powagą, i rzec można przejęciem się swoją rolą, jak gdyby nie były ptakami, ale co najmniej — profesorami zoologii.

Na prawym brzegu Sziry — ukryte pośród pól trawiastych—ciągnie się jezioro Mandze, schronisko ryb i ptactwa wodnego rozmaitych rodzajów. Tutaj z dobrą dubeltówką i znacznym zapasem ładunków, możesz pukać od rana do wieczora, a jedynym warunkiem powodzenia jest odpowiednia łódka i wioślarz zręczny. Naturalnie i odwagi nie musi ci brakować, bo chociaż tylko na pierzastą zwierzynę polujesz — to możesz się spotkać z hipopotanem lubiącym od czasu do czasu wywracać łodzie, lub wpadłszy do wody z krokodylem, który także nie gardzi mięsem z targów europejskich. Jezioro to ma połączenie z rzeką, ale kanaliki, któremi tam się dostać można, są ukryte między trzcinami i zaroślami i znane tylko okolicznym mieszkańcom.

Że ryb tu podostatkiem, przekonujemy się namacalnie. Wszędzie pełno więcierzy. Korzystamy też z tego i zaopatrujemy się w ten artykuł tanim kosztem.

Mieszkań ludzkich nie widać nigdzie, bo w tem królestwie błota i febry nawetby murzyni długo nie wytrzymali. Tu, gdyby nie człowiek, hipopotam i krokodyl mógłby wieść życie żadną nie zamącone troską, gdyż pożywienia, jeden i drugi, mają podostatkiem. A ten ostatni pewnieby nie tknął mięsa ludzkiego, które mu nie może lepiej smakować niż ryby, czyni zaś to dzisiaj prawdopodobnie tylko z zemsty. Walka o byt sprowadziła i tu białego, a ten potrafił zaraz zakłócić odwieczny spokój w świecie zwierzęcym i nauczył czarnego czynić to samo. I ci, zachęceni dobrym przykładem, zapędzają się tu dla łowów, a w porze obecnej mnóstwo ich się tu kręci, łowiąc ryby, lub polując na hipopotama.

Łowcy hipopotamów —jakaś specyalna rasa kaferska — przyjeżdżają — gdy wody opadną — z całemi rodzinami nad Szirę. Kilka lub kilkanaście „almandyj"[6]) przewozi cały ten kram na pewna oznaczone miejsce, gdzie budują szałase i zakładają tymczasowe gospodarstwo.

Polują na hipopotama w łodziach przy pomocy harpuna na ten cel zrobionego. Główną cechą tegoż jest palik bambusowy dwa metry długi a mający półtora lub dwa cale średnicy. U jednego końca w odpowiednie wyżłobienie wetknięty jest płaski, silny hak jednoramienny, ostry na zewnątrz, tępy zaś i gruby po wewnętrznej stronie, a to w celu, by wbiwszy się w skórę z łatwością, wyjąć się nie dał. Hak ten, wolno w bambus osadzony, umocowany jest do długiej, silnej liny z łyka drzewnego, która znowu okręconą jest na bambusie i doń drugim końcem przymocowana.

Kilka małych, wąskich łodzi wybiera się w drogę. Każda z nich ma po dwóch ludzi; jeden steruje, drugi stojąc na przodzie z harpunem w ręku, który dzierży w połowie, śledzi za hipopotamami. Tak przebiegają z miejsca na miejsce, to łącząc się w grupy, to rozlatując na rozmaite strony, dokąd nie upatrzą pożądanej zdobyczy. Skoro teraz hipopotam da się zbliżyć łodzi na odległość kilku kroków, i dla zaczerpnięcia powietrza zbliży się do powierzchni wody, harpun, wypuszczony z wielką siłą, wbija się w grube jego cielsko. Zwierzę natychmiast znika pod wodą. Jeśli dobrze trafiono, a żelazo głęboko utkwiło pod skórą, bambus zwalnia się z haku i dozwalając linie rozwinąć się na całą jej długość, wypływa na powierzchnię, znacząc drogę, którą zbieg — ukryty pod wodą — odbywa. Wtenczas, albo ten sam myśliwy, jeśli ma drugi harpun pod ręką, za nim zdąża, albo łódź druga drogę mu zastępuje i niechno tylko hipopotam nos swój zbliży do powierzchni, już drugi taki harpun tkwi w jego skórze.

Nie rzadko straszna walka wywiązuje się między hipopotamem a myśliwym. Rozwścieklony potwór, nie mogąc ujść, zwraca się czasem na myśliwych, gruchocze łódź, a dostawszy swych przeciwników do wody, miażdży w kolosalnych swych szczękach. Tylko niezmierna przytomność umysłu zdoła w takich razach ich ocalić, tj. gdy potrafią zręcznem zanurzaniem się zbałamucić rozjuszone zwierzę, i tak długo lawirować, dopóki inna łódź na pomoc im nie

[3]) „fumba", mata z liści palmowych, upleciona w kształcie worka używana przez mieszkańców nad Zambezą.

[4]) „Muzungu" tak nazywają tu białego.

[5]) „floating cabbage" pływająca kapusta.

[6]) „almandyja", łódka z jednego pnia.

przyjdzie, i odpędziwszy nowemi razami harpunów hipopotama, z wody nie wyciągnie. Wtedy rozpoczynają walkę na nowo.

Kiedy już hipopotam tyle krwi utracił, iż tylko z trudnością poruszać się może, a poznać to po tem, że się więcej nie zanurza, chwytają za pływające po wierzchu bambusy, a dostawszy końce lin do rąk, wspólnemi siłami do brzegu go ciągną i tam ogromnemi dzidami dobijają. Łowią go po części dla mięsa, które suszą i sprzedają współbraciom swoim z nad Zambezy, po części dla kości, która dobrocią prawie wyrównuje kości słoniowej, i przed niedawnemi jeszcze czasy bardzo dobrze była płaconą. Dwa proste kły szczęki dolnej są do wyrobów najprzydatniejsze i uzyskują najlepszą cenę; następnie idą dwa kły boczne szczęki dolnej co do wielkości największe (często od 10—12 funtów ang. wagi za parę), a dopiero potem reszta przednich zębów. Zęby trzonowe są bez wartości.

Trzecią noc z rzędu przepędziliśmy na jednem z takich obozowisk. Już całkiem ciemno było, gdyśmy dobijali do brzegu. Światła kilku ogni oraz gwar ludzkich głosów zwabiły nas ku sobie, a gdyśmy się przybliżyli, ujrzeliśmy się pośród całej rzeszy większych i mniejszych „almandyj" przytroczonych do „pondów". Brzeg był błotnisty a ogromne trawy dokoła. Wśród nich kilka nędznych szałasów i dwie czy trzy sztalugi z mięsem pokrajanem w pasy a przeznaczonem do suszenia. Tu i tam gorzały ognie niepewnem światłem. Oto cały obraz tego obozu, bo żywych osób jego nie było na pierwszym planie, a reszta szczegółów gubiła się w ciemności. Wprawdzie rozpoznawałem pod nogami kawały skóry, kości i resztki mięsa, ale w tem pomagał mi więcej zmysł dotyku, niż wzroku.

Mieszkańcy tutejsi używali wczasu w szałasach, gdzie było bardzo gwarno; przodowały zaś tam zawsze głosy niewiast i dzieci z miarowym kaszlem jakiegoś namiętnego palacza „ciamby"[1]) — kaszlem, który mógł nietylko człowieka, ale nawet hipopotama wyprowadzić z równowagi.

Usunąłem się zatem napowrót w błoto nadbrzeżne i kazałem ludziom moim tam się rozlokować. Moskitów były miliony i nie pozwoliły na długie medytacye; kłując niemiłosiernie, zmusiły do ucieczki pod siatkę, gdzie chcąc nie chcąc o śnie pomyśleć musiałem. Nie zasnąłem jednak rychło, gdyż zapachy, jakie mi wiatr z obozu tych łowców przynosił, drażnił powonienie w sposób niezbyt przyjemny. Tylko Mazarczyki cieszyli się z tak szczęśliwie obranego miejsca, bo objedli się mięsem na dni kilka i wiele go jeszcze ze sobą zabrali. Skonstatowałem to nazajutrz po woni, którąśmy ze sobą wiezli — ale „maronda"[2]) udała się im znakomicie.

Mięso hipopotama jest wcale dobrem i jak twierdzą nawet niektórzy podróżnicy afrykańscy, nie ustępuje wołowinie; mojem jednak zdaniem, niema w niem wiele smaku. Jest grubowłókniste, suche i często twarde jak rzemień. Ale kafrzy delektują się niem; umią go też skruszyć wystawiając na działanie ciepła, a chociaż nabierze woni, któraby mogła zabić cywilizowanego Europejczyka, im to wcale nie psuje apetytu. Mięso takie nazywają dojrzałem.

Dnia 11 czerwca. — Dopiero około siódmej — jak to tylko wnioskować mogłem, zegarka bowiem w podróży nigdy nie używałem — wyruszyliśmy w dalszą drogę.

W obecnej porze ranki i noce są zimne, a gęsta mgła ciągnie się jak welon po nad rzeką. Często trwa ona do dziewiątej lub dłużej, zaciemnając horyzont i robiąc z dnia noc prawdziwą. Moskity, tj. tutejsze komary, dokuczają bez ustanku, i gdyby nie siatki, które każdy Europejczyk z sobą wozi, wysypianie się byłoby niemożliwem. Czarni zamieszkujący kraje mają na to maty zwane „fumbami", które im zastępują namiot, łóżko i siatkę. Jest to rodzaj worka, uplecionego z liści palmowych, w wnętrzu którego znajdują schronienie przed wilgocią i moskitami. Naturalnie, do spania w takiej fumbie, należy mieć płuca murzyńskie; Europejczyk by pewnie takiej próby nie wytrzymał.

Ponieważ łódź moja była dostatecznie obszerną, a domek słomiany na rozpostarcie łóżka pozwalał — całą drogę na Szirze w nim spałem, przez co ustrzegłem się febry, o co tak łatwo, gdy się sypia na bagnistym terenie.

D. 13. czerwca. — Trzy dni długich i nudnych spędziłem pośród tych moczarów, mając ciągle za panoramę trawy, trzciny i ptactwo wodne. Jedyną zwierzyną, jaką w tym czasie ubiłem, była tak zwana gęś egipska, którą przypadkowo dostałem na strzał karabinowy. Strzelby śrutowej nie miałem ze sobą.

Góry, które dotychczas tylko z daleka nam się ukazywały, przybierają już wyraźniejszą formę. Ku wieczorowi tego samego dnia jesteśmy już prawie u ich podnóża. Mówię tu o łańcuchu po prawym brzegu się ciągnącym a zamieszkałym przez plemię Mangandżów. — Tu brzegi są urozmaicone, a lasy staczają się aż nad wodę. Liczne wysepki i ławice utrudniają żeglugę; trzeba znać dokładnie rzekę, aby módz bez przeszkody posuwać się pomiędzy mieliznami i sterczącemi z dna pniami drzew. Ogromne krokodyle wygrzewają się tu gromadnie po błotnistych brzegach, a ptactwa błotnego tak samo pełno jak w bagnach morambalskich. Ibisy, pelikany, marabuty, dzikie gęsi i kaczki żerują tu swobodnie. Żyjąc tu — że tak powiem — na jednem śmiecisku, żyją w zgodzie, a rzadko płoszone, dają się zbliżać łodzi na odległość strzału, poczem poważnie usuwają się z brzegu, aby po oddaleniu się naszem napowrót dawne zająć stanowiska.

D. 14. czerwca. Przed południem stajemy w Ntumbi, małej miejscowości murzyńskiej, która się chlubi portugalską warownią — czyli tak zwaną „aringą". „Aringa" taka jest niczem innem jak tylko opalisadowaną zagrodą, a że zarasta ją zwykle żywy płot krzewów i drzew kolczastych, nie jest łatwą do wzięcia. Portugalczycy budują je zwykle po brzegach, bo te tu są jedynym gościńcem w kraju, a tem samem zostawiają sobie w razie niebezpieczeństwa wolną drogą do ucieczki.

Warownia w Ntumbi jest również nad rzeką, ale oddalona od brzegu o jakich pięćset metrów, a to z powodu nietrwałości gruntu, który tu wiecznie się usuwa. Ma ona swoją załogę, a ta składa się z komendanta, którym jest porucznik strzelców mozambickich, z jednego czarnego kaprala z prowincyi Angoli i takiego samego koloru żołnierza, znanego pod nazwą: numer 23-ci.

Sam pan komendant jest czystej krwi Portugalczykiem. Na dowód tego może posłużyć cały szereg imion kalendarzowych, które zwykle wypisuje przed swojem nazwiskiem rodzinnem. Zresztą, bardzo poczciwy i gościnny facet.

Tego pana należało odwiedzić. Znałem go jeszcze z czasów mojego pobytu na wybrzeżu, więc poszedłem go pozdrowić w jego sztokadzie. — I dobrze zrobiłem. — Ucieszył się ogromnie — przyjmował jak mógł — co chwila tytułował ekscelencyą i ugościł tak wspaniałym obiadem, żem jeszcze po tygodniu czuł oliwę na języku, nie wymieniając już innych przypadłości. Ledwie pod wieczór zdołałem się wydobyć z jego uścisków.

[1]) „ciamba", konopie. [2]) „maronda", kupno, sprzedaż, handel.

D. 15. czerwca. Zbliżamy się do wioski Mpassa. Jest to ostatnia miejscowość po lewym brzegu należąca do korony portugalskiej. Flaga jej powiewa tu dopiero od niedawna. Po obu brzegach wysuwają się pasy wielkich lasów, z poza których sterczą kontury gór, dzikie i skaliste.

Po za Mpassą, po prawym brzegu, widać kilka małych wiosek rozrzuconych wśród ogrodów i zarośli bananowych. Mieszkańcy ich, chociaż także Mangandżowie — jak ci z tej strony — nie uznają już władzy Portugalczyków, lecz zostają pod protekcyą Makololów, płacąc im roczną daninę. Żyją bardzo patryarchalnie — nie robiąc nic lub bardzo mało; poczciwa ziemia przy lada jakiem staraniu zaopatruje ich we wszystko, czego tylko dusza takiego kafra zapragnie. Tu zatrzymujemy się na nocleg.

Zaledwie wysiadłem na brzeg, gdy całe grono czarnych mnie okrążyło. Przyglądając mi się ciekawie, pousiadali opodal na ziemi. Wkrótce i przedstawiciel władzy się zjawił, a za nim mała niewolnica z garnkiem na głowie, w którym mieścił się nektar krajowy — tak zwana „moa“.

Napój ten jest znany w całej prawie Afryce pod nazwą „pombe“. Jest to rodzaj piwa, uwarzonego z ziarn sorga, poddany fermentacyi. Ponieważ w smaku jest kwaskowaty i zazwyczaj zimny, bo przechowują go w porowatych naczyniach, nie jest wcale do pogardzenia. Nawet Europejczyk, zwłaszcza taki, który przestał już się brzydzić i bierze rzeczy — jak są, potrafi zasmakować w tem piwie.

Garnek ów piwa dostałem w podarunku, za co odwzajemniając się „mfumowi“ [1]) dałem mu na pamiątkę mały nóż kieszonkowy i parę metrów perkalu białego. Przyjął on te dary wdzięcznem sercem i zapewniał, że zawsze był i będzie przyjacielem Anglików, a musiał i mnie mieć za takiego. Nie chciałem wcale wyprowadzać go z błędu, bo spieszyło mi się do wieczerzy, a przyznać trzeba, że byłem głodny jak hipopotam. Ale czy zaspokoiłem głód? — Pytajcie się moskitów, bo ja uciekam pod siatkę.

D. 16. czerwca. Ledwie ranek zaświtał, byłem już na nogach. Mgła gęsta zasłoniła horyzont, nie rozróżniłbyś człowieka na odległość dwóch kroków. Zdawało się, że można ją było krajać. Jechać naprzód było prawie niepodobieństwem.

Gdym się namyślał, co mam dalej robić, czy wyruszyć na „chybił trafił“ czy też czekać, aż mgła się rozejdzie, przybiega jeden z Mazarczyków, który się gdzieś włóczył po krzakach, i krzyczy: „muzungu aniati!“ [2]) — bawoły tu blisko w ogrodach.

„Matala“! [3]) wrzeszczę ja znów do niego i pokazuję odpowiednim gestem na usta. „Stulże gębę, bo umkną i tyle będzie z bawołów!“

Tymczasem wyszukawszy naboje, z karabinem na plecach dążę do ogrodu wskazanego mi przez chłopaka, co tę nowinę przyniósł.

Wkrótce też znaleźliśmy się na miejscu. Niestety — bawołów już tam nie było. Musiały one, jako wychowane w tym kraju, zrozumieć co to oznacza „muzungu“ i to taki muzungu, który jeszcze nigdy bawoła nie widział, i nie czekały dłużej. Tylko świeże ślady pozostały po nich. Wszystko wskazywało, że uszły dopiero przed chwilą. Puściłem się za nimi.

Zabawka ta, do której wziąłem się z taką werwą — dała mi się dobrze we znaki. Czem dalej w las, tem gęstsze zarośla, a śladów ani dojrzeć w tym żywym labiryncie.

[1]) mfumo — szef przełożony.
[2]) niati — bawół; aniati — bawoły.
[3]) Matala — bądź cicho!

Olbrzymia trawa, brzemienna rosą, chłoszcze nas mokremi ramionemi, a obuwie i odzież stają się wreszcie niemożliwie ciężkiemi. Drżałem tu od zimna i szczękałem zębami. Zwierzyny jednak ani śladu; bawoły umykały co się zowie.

Zniechęcony tym zawodem byłbym już zawrócił, bo spostrzegłem, że to na długie szukanie się zanosi. Ale chłopak, któremu pachła bawolina, umiał mnie za sobą pociągnąć. Wysunąwszy się naprzód o jakie dwadzieścia kroków, świsnął na mnie z lekka, co miało oznaczać, że bawoły już widzi. Cichutko — ledwie oddychając — przeszedłem tę przestrzeń i wsunąwszy się za jego plecy starałem się rozpoznać przedmiot, który on mi wśród gąszczu wskazywał. Niestety, czy wzrok mój był tępszy — czy też w skutek mgły, która dopiero teraz opadać poczęła — niczego tam dopatrzyć nie mogłam. Ale kiedym zrobił jeszcze krok naprzód, przedmiot ten — a był to bawół — z ogromnym łoskotem pogalopował przez krzaki. W tej samej chwili i reszta, która gdzieś obok w trawach się ukryła — umknęła w wielkim nieładzie. Wiatr nam nie sprzyjał — iść za śladem było prawie daremnem, ale jak tu się oprzeć pokusie, raz już przed sobą widziawszy bawoła? Powlokłem się dalej za niemi.

Mozolna to była wędrówka, a co więcej, że bezskuteczna. Maszerowaliśmy tak jeszcze dwie godziny za stadem, nie ujrzawszy go już więcej na oczy, a trawy jak na złość coraz większe, grubsze i kłujące. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Słońce także już przypiekało — a gdyśmy się zatrzymali chwilkę, aby pomyśleć o odwrocie — czułem ogień na plecach i na karku. Teraz nie było co już marzyć o bawołach, ale wracać do łodzi. Przeklawszy więc całe to polowanie, zwróciliśmy kroki ku Szirze, gdzie zmęczeni, spragnieni i głodni stanęliśmy dopiero po długim marszu.

Ale na tem się nie skończyło, i tu na brzegu nowe nas czekały tortury. Gęste trzciny zarastały nierówny teren, a krzaki pokryte wijącemi się roślinami stworzyły zieloną plecionkę, w której tylko hipopotamy dróżyny swoje wydeptały. Nie było innej rady, jak trzymać się tych ścieżek, i skuliwszy się we dwoje, przesuwać tędy wzdłuż brzegu. Często gęsto ścieżki gubiły się nad wodą; szukając przejścia każdy dla siebie — traciliśmy się w tym mateczniku.

Nareszcie wydało mi się, że słyszę głosy ludzkie. Pierwszą dróżką, która biegła równolegle z brzegiem, ruszyłem naprzód, i już nie oglądałem się na moich satelitów, tak mi było spieszno wydobyć się z tej matni. — Ale fatum zrządziło inaczej.

Na końcu tej dróżki, skręcającej nagle ku wodzie, sterczał mały pagórek termitów; wydrapałem się nań. Z wierzchołka jego miałem widok na rzekę — a w oddali widziałem dym i ludzi krzątających się około ogniska. Byli to moi wioślarze.

Odetchnąłem też swobodniej — wypoczynek czekał mię za małą chwilę. I myśląc o obiedzie, o kąpieli i miękkich kocach, na których będę się mógł wyciągnąć — zbiegłem w dół. Jeszcze jeden krok.... i zniknąłem w przepaści...

Gdym się ocknął — nie wiedziałem, co się zemną stało. Znalazłem się w jakimś dole pośród egipskich ciemności. Stłuczony bok nie pozwalał mi się ruszyć. Począłem macać w około siebie. Z jednej i drugiej strony — gładkie i wilgotne ściany ziemne — a u góry jakieś światełko niby gwiazdka. Chcąc zbadać, skąd to światło pochodzi, podniosłem się na nogi, ale że dno, na którem leżałem było ślizkie — wywróciłem się powtórnie.

Teraz przyszło mi na myśl, że wpadłem prawdopodobnie do łapki na hipopotamy. Przyjemna pewność! — z dołu takiego nie wydostaje się z łatwością. Są one głębokie — a ten, do którego wleciałem, miał może cztery metry od dna do brzegu. Był on wykopany w gruncie twardym — szeroki u góry, a węższy ku spodowi i tak wymierzony, ażeby zwierzę padając, mogłoby zaczepić pyskiem o ścianę dołu i złamać kark własnym ciężarem. Szczęście, że nie było w nim kołów zaostrzonych — co się także trafia — bo wtedy nie byłoby komu opisać niniejszego wypadku.

Starałem się z początku drapać po ścianach, pomagając sobie w tem rękami i nogami, po chwili jednak poznałem, że to praca daremna. Krzyknąłem — niestety — głos mój był bez echa; wątpiłem, czy dojdzie do uszu moich towarzyszy.

Już prawie godzinę siedziałem w tem więzieniu, a przez głowę przechodziły mi straszne myśli. Możliwość śmierci głodowej stanęła mi przed oczyma. Zimny pot wystąpił na czoło; w sercu uczułem trwogę.

Zrozpaczony, wziąłem się do dłubania dziur w tych ścianach. Wydłubałem jednę, drugą, nad nią trzecią — a chcąc spróbować, czy mój ciężar wytrzymają — spiąłem się po nich do góry. Zdawało mi się, że w ten sposób jamki kopiąc, na wierzch się dostanę. Wygrzebałem jeszcze dwie, aż palce zdrętwiały mi od tej roboty.

Radość moja nie długo trwała. Gdym się spiął po raz wtóry, aby pracę moją dalej prowadzić — usunęła się ziemia, i znowu na dnie się znalazłem. — Jak schwytane zwierzę rzucałem się po tej klatce krzycząc, co mi sił stało. Pot oblał mię strugami; byłem bliski omdlenia.

Ale pomoc miała wkrótce nadejść.

Chłopacy wrócili do łodzi — a nie znalazłszy mnie tam i nie mogąc się mnie doczekać — napowrót w trzciny się udali. Idąc po dawnych naszych śladach do łapki mej doszli. Dla kafra nie było zagadką, gdzie „muzungu“ się znajduje; zresztą karabin, który przy upadku zawiesił się na gałęziach dół pokrywających, wskazał im miejsce mego ukrycia.

Usłyszałem ich kroki; krzyknąłem z całej piersi. Inny głos mi odpowiedział: „Ile pam“ — „my tutaj“. Nadzieja wstąpiła we mnie.

I otwór, którym światełko do dołu wchodziło, powiększonym został, a w nim wkrótce ujrzałem przelęknione fizyognomie moich Mazarczyków. Po chwili byłem już na górze; wyciągnęli mnie za pomocą długich gałęzi.

Przybywszy do łodzi — padłem jak kłoda na łoże, i wnet usnąłem. Jak długo spałem, tego nie wiem, ale gdym się obudził — spostrzegłem, że już prawie ciemno, a łódź zbliża się do brzegu. Dostaliśmy się do jakiejś wioski. Ludzie rozbiegli się za mąką i kurami — ja zaś nie ruszając się z łodzi do nowego snu się przygotowałem, który, dzięki emocyi i zmęczeniu, wkrótce mną owładnął.

D. 17. czerwca. Jeszcze była noc, gdy się obudziłem; ryk pantery wybił mię ze snu. Musiała być gdzieś w trawach niedaleko, bo wyraźnie słyszałem jej głos chrapliwy, który wcale nie jest donośnym, i prawie niegodny tak wspaniałego zwierza. Ryczała tak sobie aż do świtu, i naturalnie, że już więcej nie usnąłem.

Ze wschodem słońca wrócili posłańcy z ludźmi tutejszej miejscowości. Przynieśli na sprzedaż kury, mąkę, jaja i banany, ale żądali niestworzone rzeczy. Wreszcie udało mi się ubić „marondę“ płacąc białym perkalem i czerwonemi koralami. Następnie, korzystając z lekkiej mgły, dałem rozkaz do podniesienia kotwicy.

* * *

Wioślarze moi — jak wszyscy ludzie z Mazaro — spiewają bezustannie, a echo ich pieśni rozlega się daleko po rzece i ludziom mieszkającym nad brzegami niesie wiadomość o podróży „muzunga“. Piosnki te — prawdziwe barkarole, zastosowane do ruchów wiosłem lub tyką — miłe sprawiają wrażenie na podróżniku, chociaż przyznać trzeba, że głosy kaferskie nigdy do spiewu nie były stworzone. Bije z nich humor afrykański, bo treść piosnek wzięta bardzo często z jakiegoś komicznego wypadku z życia — często płaska — i w naszych pojęciach nieprzyzwoita.

Czem dalej w górę rzeki — tem mniej zdybuje się wiosek. Prawdopodobnie ukryte są gdzieś w głębi kraju, wśród lasów i w miejscach mniej bagnistych. Tu i tam tylko widać parę szałasów — ogrody z kukurudzą i sorgo — zresztą jest to ciągłe morze traw, pośród których — niby oazy — wznoszą się kępy drzew mimozowatych lub ciernistych krzaków. Dopiero za temi preryami szarzeją pasy wielkich lasów.

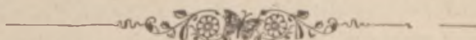
Ludność nadbrzeżna — tak samo, jak ci, co zamieszkują Ntumbi i Mpassa — są Mangandżami, co oznacza w języku kaferskim mieszkańców, osiedlonych nad wodami. Dyalekt ich różni się nieco od dyalektu Aczikundów, ale kto jeden z tych dyalektów rozumie, może się doskonale bez drugiego obejść.

Typ Mangandżów nie należy do najpiękniejszych nad Zambezą, a inteligencya ich idzie w parze z powierzchownością. Ich kobiety są znane wszędzie z brzydoty i pracowitości — szczególniej zaś ze sposobu ozdabiania twarzy — tak zwanem „pelele“. Takie „pelele“ — jest to krążek z metalu lub kwarcu — czasem talerzyk cynkowy — wprawiony w górną wargę. Mieści się ono w wycięciu odpowiednem — tuż pod nosem — a wydłużając tę wargę — nieraz na cal poza zwykłe jej granice — daje pozór dzioba ptasiego. Więcej postępowe damy, a szczególnie młode dziewczęta, mają już inne pojęcia o piękności. Chociaż wargi mają przekłute, nie wstawiają tam takiego „pelela“ — ale słomkę lub kawałek drewienka, które — gdy im się biały przypatruje — zręcznie językiem wyciągają i w ustach kryją. Widocznie moda ta nie odpowiada już ich wyobrażeniom o estetyce, ale zapytane przez niedyskretnego podróżnika o cel tak ekscentrycznej ozdoby — odpowiadają rezolutnie: A wy czemu nosicie spodnie?

Jeszcze dzień cały wleczemy się wśród tak monotonnej panoramy, aż wreszcie ku wieczorowi spostrzegamy upragnione Ruo.

Ruo, dopływ Sziry z lewego brzegu, przynosi z gór czystą i zimną wodę — prawdziwa rozkosz dla tego, co przez tyle dni mętny i ciepły żur pić był zmuszony. Poza Ruem leżą już kraje wolnych Makololów, nie uznających władzy Portugalczyków.

(C. d. n.)



SPRAWOZDANIE

ze zwyczajnego Walnego Zgromadzenia galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego,

odbytego w sali posiedzeń c. k. Dyrekcyi dóbr państwowych we Lwowie w dniu 3. lutego 1895.

Prezes Towarzystwa, Roman hr. Potocki zagaił posiedzenie, poczem p. J. Starkel imieniem Wydziału Towarzystwa łowieckiego przedłożył następujące sprawozdanie z czynności Wydziału za r. 1893—1894.

Podobnie jak wszystkie inne towarzystwa, tak i galicyjskie Towarzystwo łowieckie skoncentrowało swą czynność w latach 1893 i 1894 w przygotowaniach do powszechnej Wystawy krajowej. Wydział Towarzystwa nie występował wprawdzie jako taki, lecz wszyscy prawie członkowie Wydziału byli zajęci w odpowiednich sekcyach komitetu Wystawy i zajęli się bardzo gorliwie zebraniem okazów do pawilonu łowieckiego, który też, dzięki ich działaniu, znakomicie został urządzony. Największe zasługi położyli w tej mierze pp. hr. S. Szembek, St. Matkowski i E. Oczosalski.

Same towarzystwo łowieckie nie miało żadnego przedmiotu na Wystawie, gdyż nie posiada żadnych zbiorów i nie urządza polowań, nie ma więc żadnych trofeów. Jedynym okazem wystawowym Towarzystwa, zresztą bardzo poważanym, bo składającym się z 18-tu roczników, stanowiących wymowny dowód jego działalności, był „Łowiec“.

Towarzystwo nasze będzie wkrótce święciło 20-tą rocznicę swego istnienia, zawiązało się bowiem w r. 1876, t. j. w rok po uchwaleniu ustawy o ochronie zwierzyny, a to w tym celu, aby przychodzić władzom z pomocą w wykonaniu ustawy i starać się o podniesienie zwierzyny w kraju. Od lat 20-tu przepisy te przeszły tak w zwyczaj i krew myśliwych, że o przekroczeniach przeciw czasowi ochrony zwierzyny prawie w kraju naszym już mowy nie ma, nie wspominając rozumie się o kłusownikach, którzy stoją po za wszelką ochroną, i nad którymi czujność należy do straży łowieckiej i do żandarmeryi. W obec takiego stanu rzeczy, było i nasze Towarzystwo i nasi delegaci na prowincyi prawie bezczynni co do wspierania władz w wykonywaniu ustawy łowieckiej.

Inna rzecz jednak co do podniesienia stanu zwierzyny łownej. Tutaj wpływ Towarzystwa jest i powinien być nadal wywierany, bo jakkolwiek tu i owdzie stan sarn w naszych kniejach jest bardzo dobry, to jednak świadczą daty statystyczne, że stan ten jest bardzo niejednostajny, że są knieje puste i pełne, a w przecięciu nie przedstawiają tak korzystnego zwierzostanu, jak n. p. w Czechach i innych bardziej w kulturze rolnej posuniętych krajach. Zaporę stanowią u nas właściciele ziemscy, którzy nie są myśliwymi; u nich to ochrona i hodowla zwierzyny nie postępuje naprzód i sprowadza ten stan anormalny. Wydział zwraca się przeto do swych delegatów, aby szczególniej w takich majątkach ziemskich baczyli pilniej na ochronę i hodowlę zwierzyny, zwłaszcza w tak ciężkich i śnieżnych zimach, jak obecna, która sama przez się, bez poddawania karmy, dziesiątkuje zwierzynę.

Widomym znakiem działania naszego Towarzystwa był „Łowiec“. Krytyka tego pisma należy do panów; znajdziecie w nim zapewne i działy zaniedbane, lecz z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że jest znaczne zainteresowanie się członków „Łowcem“ — jest bardzo wiele korespondencyj, które go ożywiają i czynią pismem aktualnem. Lecz niestety, wydawnictwo „Łowca“ ma także znaczne trudności do zwalczania, a najgłówniejszą są rosnące zaległości wkładek od członków, któreby należało żywiej ściągnąć.

Wydział uprasza panów o przyjęcie tego sprawozdania do wiadomości.

Sekretarz W. Zontak odczytuje daty statystyczne. Towarzystwo liczyło po dzień 1. stycznia 1895 r. 461 członków, z których tylko 326 uiściło wkładki. Zaległość wkładek od 135 członków za rok do 3 lat przedstawia sumę 1360 złr.

Stefan hr. Szembek przedkłada zamknięcie rachunków za rok 1893 i 1894 i zaznacza, że Wydział na ostatniem posiedzeniu uchwalił, aby na przyszłość członkom Towarzystwa, zalegającym z wkładkami, posyłać lipcowy numer „Łowca“ tylko za zaliczką pocztową, obejmującą zaległość członka. Celem usunięcia drażliwości członków, którzyby w tem upatrywać chcieli nieusprawiedliwioną natarczywość, poddaje tę uchwałą do zatwierdzenia Walnego Zgromadzenia.

Prezes Roman hr. Potocki otwiera dyskusyę nad sprawozdaniem z czynności Wydziału.

Hr. Zamoyski zauważył, że należałoby ogłosić uchwały, tyczące się ściągania zaległości, i częściej przypominać je członkom, przypisuje bowiem tworzenie się zaległości zapomnieniu członków. Zgadza się zresztą, aby lipcowy numer „Łowca“ z b. r. posłany był zalegającym za zaliczką pocztową. Podnosi wszakże z drugiej strony, że dochodziły go wieści, iż niektórzy członkowie nie otrzymali „Łowca“, jakkolwiek wkładkę uiścili, i że te nieprawidłowości trzeba usunąć.

Hr. Szembek mniema, że praktycznie byłoby wystosować listy upominające do członków, bo to prędzej i skuteczniej podziała, niż ogłoszenia w dziennikach.

P. Pietruski czyni uwagę, że przypomnienie jest potrzebne, bo niektórzy myśliwi nie wiedzą, iż są członkami Towarzystwa.

P. Matkowski popiera wniosek hr. Szembeka, do którego przystępuje i hr. Zamoyski.

P. Zontak w odpowiedzi hr. Zamoyskiemu wyjaśnia, że niedoręczanie „Łowca“ może nastąpić tylko z winy dotyczącego członka, który w razie nieotrzymania numeru, winien go reklamować. Zresztą niejednokrotnie zdarza się, że kto inny odbiera „Łowca“ zamiast adresata, który się o to nie upomina.

Po tej dyskusyi uchwalono przyjąć sprawozdanie z czynności Wydziału do wiadomości i ogłosić uchwałę Walnego Zgromadzenia co do ściągania zaległości i wysyłki „Łowca“ za przekazem pocztowym.

Następnie przystąpiono do wyboru nowego Wydziału. Wybrani zostali jednogłośnie pp.: hr. Roman Potocki prezesem, hr. Stefan Szembek wiceprezesem; członkami Wydziału: Tadeusz Czarkowski-Golejewski, Stanisław hr. Stadnicki, Dr. Franciszek Fuchs, Józef Glanz, Piotr Hirsch, Witold Korytowski, książę Andrzej Lubomirski, Stanisław Matkowski, Edward Oczosalski, Juliusz Starkel, Franciszek Szczerbicki i Władysław Zontak.

Przystąpiono do punktu obrad, obejmującego wnioski członków.

P. Juliusz Starkel zażądał głosu i podniósł sprawę ochrony lisa. Według obowiązującej ustawy z d. 30. stycznia 1875 nakazaną jest ochrona lisa od 15. lutego do 31. sierpnia, a tępienie dozwolone tylko uprawnionym do polowania w miejscach hodowli zwierzyny, dla której lis jest szkodliwy. Na podstawie tej ustawy był tedy lis u nas przez lat 20 chronionym. Jestto dziś unikat w ustawodawstwie łowieckiem, przynajmniej na kontynencie, bo podobno w Anglii chronią go do pewnego stopnia przepisy łowieckie. W Austryi w żadnym kraju koronnym nie doznaje lis ochrony, ani na Węgrzech. W Prusiech i w Poznańskiem ochrony lisa również nie ma — nie ma jej i w Królestwie Polskiem. Opowiadano mi niedawno temu, że w lwowskiem towarzystwie myśliwskiem, które urządza w lasach tuż pod miastem polowania, padło na jednem polowaniu 15 zajęcy a 12 lisów, Cóż to za anormalny stosunek! Jakaż to ciekawa ilustracya, w jakich rozmiarach grasują w kraju lisy.

Cyfry statystyczne potwierdzają to również. Wedle wykazów ministerstwa rolnictwa, które mam pod ręką, widzę, że w r. 1891. padło 476.978 zajęcy w ciągu jednego roku w Czechach a lisów 2.518, w Galicyi zaś 43.202 zajęcy a 6.178 lisów. Zestawiwszy te cyfry z Czech i z innych krajów koronnych Austryi we właściwy stosunek, otrzymamy następującą tabelkę:

W Czechach	przypada	1	lis	na	180	zajęcy
„ Morawii	„	1	„	„	170	„
„ Niższej Austryi	„	1	„	„	71	„
„ Szląsku	„	1	„	„	48	„
„ Wyższej Austryi	„	1	„	„	25	„
„ Styryi	„	1	„	„	15	„
„ Galicyi	„	1	„	„	7	„

Badając przyczyny, dla których weszła do ustawy ochrona lisa, usprawiedliwiamy ją poniekąd. Było to w r. 1875, tj. w czasie, w którym bardzo obszernie dyskutowano nad pożytecznością lub szkodliwością lisa. W popularnem swem dziele uznał Brehm lisa jako zwierzę pożyteczne, ze względu na tępienie myszy i uwierzono mu z wielu stron. Tymczasem obecnie mamy w kraju wielką klęskę myszy, a przecież wielka ilość lisów jej nie zaradza. Zresztą lisa bronił i broni niejeden z zapalonych myśliwych, bo strzał do lisa jest przyjemny. Rozstrzygającemi w tej sprawie powinny być wszakże ekonomiczne względy łowiectwa i dlatego wnoszę: Walne Zgromadzenie uchwali wnieść do Wydziału krajowego podanie o przedłożenie sejmowi noweli do ustawy z r. 1875., uchylającej ust. 12. §. 1. tejże.

Hr. Zamoyski zgadza się w zasadzie z uchyleniem ochrony lisa, mniema atoli, że tego rodzaju petycyę należałoby wnieść dopiero w chwili wniesienia do sejmu nowego projektu ustawy łowieckiej.

Hr. Szembek zgadza się z tem i wyraża oczekiwanie, że w razie wniesienia nowego projektu ustawy łowieckiej do sejmu, Towarzystwo łowieckie będzie ponownie do dania swej opinii zawezwane. Skreśla przytem historyę pierwszego projektu do ustawy łowieckiej i ubolewa, że rząd nie liczy się z fachową opinią Towarzystwa.

P. Matkowski podziela zapatrywanie hr. Zamoyskiego i sprzeciwia się wnoszeniu tej kwestyi już obecnie.

Po dalszej dyskusyi, w której brali jeszcze udział hr. Szczęsny Koziebrodzki, hr. St. Szembek i inni i po przystąpieniu wnioskodawcy do zapatrywania hr. Zamoyskiego, uchwaliło Walne Zgromadzenie zasadniczo, iż ochrona lisa nie ma żadnego celu, i jest dla zwierzostanów szkodliwą, a wprowadzenie tej sprawy w stosownej chwili na drogę ustawodawczą porucza Prezydyum Wydziału.

Hr. Zamoyski poruszył kwestyę wydawnictwa kalendarza myśliwskiego i zapytał dlaczego na r. 1895. nie został wydany.

P. Starkel wyjaśnia, że wydawnictwo to nie opłaca się, dlatego Wydział nie podejmuje go co roku. Zapytuje przytem, czy nie byłoby stósownem wydawać kalendarz myśliwski w połowie roku tj. z początkiem właściwego sezonu myśliwskiego, który się rozpoczyna od polowań błotnych, a kończy na kniejowych.

Hr. Zamoyski nie podziela tego zapatrywania nadmieniając, że wydanie kalendarza w lipcu nie powiększy dochodów, gdyż w lipcu nikt kalendarza nabywać nie będzie. Co do roku myśliwskiego, niektórzy liczą rok ten od 1. lipca do 1. lipca, niektórzy od wiosny, gdy słonki nadciągną aż do następnego ciągu słonek — najczęściej zaś zgodnie z kalendarzem administracyjnym od 1. stycznia. Należałoby więc wydać kalendarz na r. 1896., ale już w listopadzie b. r. Wydawnictwo takie uważa za objaw działalności naszego Towarzystwa.

P. Goralczyk wnosi na połączenie tego kalendarza z leśnictwem i datami leśnictwa.

P. Starkel wyjaśnia że w poprzednich wydaniach uwzględniano i leśnictwo.

Hr. Szembek wnosi na przekazanie wniosku hr. Zamoyskiego Wydziałowi do porozumienia się z Towarzystwem leśnem i rybackiem i wezwania tychże do przyczynienia się odpowiednią częścią kosztów do tego wydawnictwa.

P. Matkowski proponuje, by w kalendarzyku łowieckim, dodanym był i kalendarz ścienny, któryby się dał odłączyć.

Uchwalono jednogłośnie przekazać Wydziałowi sprawę wydawnictwa kalendarza myśliwsko-leśno-rybackiego na rok 1896 po poprzedniem porozumieniu się z dotyczącemi Towarzystwami.

Na tem zgromadzenie zakończono.

KORESPONDENCYE.

W styczniu 1895. r.

(Z polowań w Księstwie Poznańskiem.)

Kto chce użyć prawdziwej rozrywki myśliwskiej, niech jedzie na zimowe polowania do Księstwa, a nastrzela się i ubawi do syta.

Gwaru i ożywienia pełnym jest wyjazd ze dworu. Ochoczy głos trąbki odrywa nas od obficie zastawionego stołu, chwilka jeszcze, by spiąć pasek z nabojami, opatrzyć, czy strzelba zamyka się lekko, by nie zawiodła w chwili zajęczego natarcia, i wychodzimy na ganek, gdzie gospodarz

obdziela każdego kolorową kokardką. Wnet się tworzą cztery oddziały i oto już rozpoznać możemy, z kim na dzień cały złączył nas plan ułożony z góry.

Podczas gdy siadają do bryczek i powozów i wyruszają kolejno: czerwoni, niebiescy, żółci, nas trzech lub czterech zielonych ma czas przypatrzeć się, jak na dziedzińcu obszernym, w gromadę zbita nagonka z wrzawą i śmiechem szykuje się również do tychsamych kolorów i na dużych czterokonnych wozach w ślad podąża za swymi strzelcami. Gdy my wyjeżdżamy, tamtych już nie widać wcale — zniknęli za wzgórzem, czy na zakręcie, dość, że jedziemy sami z naszym oddziałem, a furmani wiedzą dobrze, dokąd się mają skierować. Pięć minut drogi, stajemy na pagórku, wysiadamy, i równocześnie bez zamieszania, miarowo i cicho rozchodzi się nagonka miedzami wśród pól w dwie przeciwległe strony; co 10 do 12 ludzi, jeden myśliwy, na znak niemy, również karnie pospiesza.

Słońce pogodne oświeca okolicę lekko falistą, śniegu cienka powłoka zaledwo ziemię pokrywa, a na tle białem, zdaleka, o kroków parę tysięcy, widać ruchy jakoweś, jak gdyby oddziały wojsk, czarne zbite masy — broń pobłyskuje — rozsypują się w tyralierkę, pojedyńcze postaci odrywają się w równych odstępach, posuwają naprzód — a tam dalej szereg wozów szybko się toczy i zajmuje pozycyą. I znów wyciąga się łańcuch naprzeciw tamtego, zbliżają się ku sobie — dymki pojedyńcze widać bardzo wyraźnie, huk słaby dochodzi za chwilę — już, już się schodzą, lecz żadne nie następuje starcie, owszem zetknąwszy się stają, tworząc jedną długą linię na widnokręgu. Linia ta zaokrągla się coraz wyraźniej — ramiona naszego oddziału również zbliżają się do tamtych — i odgłos pojedyńczych wystrzałów już z wielu punktów dochodzi. Wreszcie i nam każą wyruszyć. Idziemy, trzymając się wskazanego kierunku, nagle hasło donośne „Stojać!“ przelatuje z ust do ust. To znak, że koło zamknięte, wszystkie cztery oddziały zetknęły się ze sobą. Brzmi znów komenda: „Naprzód!“ Ruszamy pomału do punktu środkowego, którym jest drzewo jakieś lub sterta, lub chorąży na koniu.

Wtenczas dopiero prosty szeregowiec, jakim jest w tym wypadku myśliwy każdy, jasno widzi plan wodza i równocześnie dostrzega prawdziwego nieprzyjaciela. Wedety zajęcze ukazują się zdala, nasłuchują uważnie i zmykają w przeciwną stronę, lecz i stamtąd też nadbiegają pierwsi uciekinierzy, niejeden w impecie wprost pod nogi się wali, na lufę, inne wielkim łukiem wzdłuż pędzą, dopóki ich nie dosięgnie strzał na połeć dalcki, najostrożniejsze zatrzymują się, zwracają i zbijają w gromadki po cztery, pięć do dziesięciu nawet. Lecz coraz bardziej ścieśnia się koło, zmniejszają się odstępy, z poza pagórków, rowów i dołów wychyla się linia cała, nagonka już w gęstych gromadkach, między temi luki, a w ich środku myśliwy i dym po nad nim co chwila się wznosi. Strzały padają bez przerwy. Szaraki biedne, ogłupiałe z trwogi, rzucają się na oślep w te luki, które im wskazywać się zdają drogę na wolność, a są tylko zgubną zasadzką; w szalonym pędzie przebijają pierścień, i rażone z bliska wywracają po kilkanaście kozłów.

Nareszcie trąbka znać daje, że do kółka już strzelać nie wolno; niedobitki jeszcze giną poza kołem, wreszcie i cała armia zwycięska schodzi się, by rozdzielać brańce i łupy. Pod chorągwią każdego koloru składają zdobycz, nastaje chwila obrachunku. I oto wbrew powszechnemu mniemaniu o myśliwskiej przesadzie, podanych zwykle bywa mniej sztuk, niż liczą trupów poukładanych w długie szeregi. To nieboraki, na których uśmiercenie składały się spółki, lub też pokaleczone koty, które się pod koniec plączą pomiędzy nogami i giną pod kijami nagonki; nikt się do nich przyznać nie chce, a prawdomowność braci łowieckiej odnosi w tak uroczystej chwili tryumf niebywały.

Natychmiast nadjeżdżają wozy, które się wciąż z bliska za nami trzymały, i jedziemy do kółka drugiego. O pierwszej powrót do dworu na doskonałe śniadanie, a dalej znów trwa zabawa do czwartej.

Strzały w czystem polu wogóle są łatwe, myśliwi nadto mają wielką wprawę w szybkiem nabijaniu, tak, że przy wielkim „nabiegu“ zajęcy, udaje im się nieraz robić z dubeltówki tryplety. Interesowało mię również jaka broń najdalej sięga, bo do prób tego rodzaju polowanie w kotły doskonale się nadaje. Widziałem przeważnie Lankastrówki, Dreysówek nie wiele, Teschnerówkę jedną lub dwie; a choć z reguły każdemu własna pukawka najlepiej bije, to jednak musieliśmy przyznać, że najbardziej zdumiewające strzały dawał Z. K. ze strzelby „hammerless“ cal. 12, o lufach od Greenera.

Rezultat polowań, w których uczestniczyłem, był następujący:

Dnia 31. grudnia z. r. polowaliśmy u Edwarda Kurnatowskiego w Biozdrowie w 11 strzelb na przestrzeni około 2500 magdeburgskich morgów. Zabito 1 kozła i 454 zajęcy. Królem był Mieczysław hr. Kwilecki mając 1 kozła i 63 zajęcy.

Dnia 2. stycznia w Przysiece u Zygmukta Kurnatowskiego zabito w 9 strzelb również na 2500 mgd. morgach 280 zajęcy. Najwięcej wykazał Maks. hr. Potworowski: 50 sztuk.

Dnia 3. stycznia w Spławiu u Dra Witołda Skarżyńskiego, gdzie było 17 strzelb, padło 481 zajęcy i lis na przestrzeni 5.000 mgd. morgów. Wnoszono zdrowie Zygmunta Kurnatowskiego, który zabił 61 zajęcy.

Dnia 5. stycznia w Pożarowie u marszałka Stanisława Kurnatowskiego, 15 strzelb na przestrzeni 2.600 morgów dostarczyło na rozkład 420 „jontków“ (nazwa lokalna). Królował hr. Szołdrski z 44 zającami.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że w harmonii ze świetnym stanem zwierzyny i wzorową organizacyą, było serdeczne i gościnne przyjęcie, tak, że całość zapisała się w pamięci szczęśliwych gości polowań w Księstwie, jako najprzyjemniejsze wspomnienie.

K. Krusenstern.

Kobyla (koło Zbaraża) 23. stycznia 1895.

(Niezwykłe polowanie.)

„Jasne słońce nad Podolem,
Po parowach kraj się zboczył,
Wielkim łukiem czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył“.

W. P.

Nad Dniestr i Zbrucz do Germakówki, w ową błogosławioną niegdyś krainę, podążyłem ze Zbaraskiego wśród najgorszej dla myśliwego prognozy; odwilż bowiem, mgła i deszcz naprzemian prześladowały nas ciągle.

Dobra Germakówka, jedne z najpiękniejszych na Podolu, należą do hr. Władysława Baworowskiego. Eldorado dla myśliwych, o którym marzy się rok cały, jak Muzułmanin o siódmem niebie!

Obok nadzwyczajnej ilości zajęcy i sarn, znajduje tu myśliwy wzorowo prowadzone łowiectwo, dzkki, jedyne dziś

okazy dawnych królewskich łowów i pyszne widoki okolic nad Dniestrem i Zbruczem.

Pierwszy dzień polowania dnia 14. b. m. w rewirze „Horoszowa“ roztoczył przed nami obszerny widok na olbrzymi łuk Dniestru, otoczony stromem wybrzeżem zakordonowej Besarabii i malowniczo położone Uście Biskupie. Tam niedaleko za Dniestrem przedstawia wyobraźnia sceny Chocimskiej wyprawy. Stąd widzi się także wznoszące wzgórza Bukowiny i przychodzą na myśl Olbrachtowi rycerze. Lecz po chwili tych marzeń — trąbka daje sygnał, pogonka rusza — i krwawe sceny z dziejów, które wyobraźnia malowała, zmieniają się w rzeczywisty pogrom zajęcy. Strzały sypią się jak w tyralierce. przy mglistem powietrzu dym zaciemnia bór, a fantastyczne postacie szaraków przesuwają się w ciemnej kulturze świerkowej jak widma.

W drugim dniu polowania 15. b. m. w rewirze „Glinki“ było kilkadziesiąt dzików, lecz przy silnej odwilży nie podobna było ich obtropić, uszły więc po strzałach w sąsiednie knieje Sopohowa i Krzywcza, pozostawiając nam na placu haracz — siedmiu czarnych swoich towarzyszy.

Trzeci dzień łowów 16. b. m. w rewirze „Murawiniec“ przeszedł wszelkie nasze nadzieje: zaraz w pierwszym miocie padło 130 zajęcy i 5 rogaczy! Można sobie wyobrazić, co za ogłuszający huk strzałów trwał od początku do końca niewielkiego tego miotu. Szczęśliwy ten rewir — ma faliste położenie i w dolinach płyną małe potoki. To „mateecznik“ Germakowieckich zajęcy i sarn. Wzięliśmy tu z piętnastu miotów tylko sześć.

W czwartym dniu 17. b. m. w rewirze „Kornia“ nad Zbruczem roztacza się widok jeszcze więcej malowniczy, niż w Horoszowie. Z znacznej wyżyny leśnej widać po tamtej stronie granicy ślicznie położoną wieś Czarnokozińce i innych parę wiosek, a dalej na wschód leży Kamieniec podolski, z którym tyle wspomnień historycznych się wiąże...

„Kornia“ to knieja największa z rewirów Germakowieckich, wystarczyłaby na dwa dni forsownego polowania. Niedaleko Zbrucza ciągnie się tu t. zw. „wał Trajana“, wzniesiony wedle podania przeciw Scytom przez rzymskie legiony.

Tak w „Korni“ jak i w poprzednio wspomnianych rewirach wzięto zaledwie trzecią część miotów; mimoto w 12 strzelb na 1660 strzałów zabiliśmy *7 dzików, 12 rogaczy, 4 lisy, 688 zajęcy i pięknego puhacza.* Gdyby powietrze było mroźne, i gdybyśmy byli brali zamiast 5 do 6 miotów dziennie, po 8 do 10, byłoby niezawodnie dwa razy więcej zwierzyny padło.

Przy silnej odwilży zające leniwo ruszały przed nagonką, uderzając na flanki lub wracając. Sarn jest tu bardzo wiele, lecz tak miękkie pole dozwalało przemądrym rogaczom łatwiej niż w czasie mroźnym spekulować nad swojem ocaleniem.

W trzech dniach ostatnich towarzyszyły nam w kniei hr. Marya Baworowska i hr. Leonardowa Starzeńska z książąt Bibesko, żona austryackiego konsula w Konstantynopolu, której małżonek największe miał spotkanie.

Minęły te dni szczęśliwe, jak wszystko mija. Powrót daleki saniami wśród deszczu po fatalnej drodze, stwierdził odwieczną prawdę, że po dobrem złe następuje — a towarzyszom tych niezwykłych łowów pozostaje nadzieja, że w przyszłym sezonie polowań czcigodny i łaskawy gospodarz nie zapomni o wdzięcznej swojej drużynie.

Mieczysław Konopacki.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Spasie, w powiecie staromiejskim, odbyło się w dniach od 8. do 13. stycznia polowanie w 10 strzelb, w którem wzięli udział hr. hr. Konstanty, Stefan (z dwoma starszymi synami) i Jędrzej Zamoyski, ks. Adam Czartoryski ze Sieniawy i hr. X. Krasicki. Pośród ubitych dzików i innej zwierzyny imponują dwa rysie, bardzo ładnie znaczone i ogromnej wielkości, z których jednego położył celnym strzałem hr. Adam, drugiego zaś hr. Konstanty Zamoyski. Ogółem zabito: 2 rysie, 5 dzików, 3 lisy i 17 zajęcy.

— W Młyniskach u hr. Jerzego Dunina Borkowskiego odbyło się w trzech ostatnich dniach stycznia polowanie w 15 strzelb, na którem pomimo ogromnych śniegów ubito ogółem 286 sztuk. I tak: w Słobódce w d. 29. z. m. padło 85 zajęcy, 7 rogaczy, i 2 lisy; w Kobyłowłokach w d. 30. z. m. 104 zajęcy, 4 rogacze, 4 lisy i 11 dzików; wreszcie w Kobyłowłokach 31. z m. 56 zajęcy, 7 rogaczy i 6 lisów. W łowach uczestniczyli pomiędzy innymi: hr. Potocki z Buczacza, hr. Michał Baworowski i p. Seweryn Skrzyński. Polowano zwykle od godz. $11^1/_2$ w poł. do 4. popoł. i zajmowano 5 do 6 miotów, zostawiając resztę nietkniętą. — Rezultat łowów świadczy o obfitości zwierzyny w tych kniejach. *J. M.*

— W Bucniowie, u p. Teodora Serwatowskiego, na polowaniu, odbytem w 7 strzelb w dniu 17. stycznia, padło 25 rogaczy i 26 zajęcy. Sam gospodarz ubił na jednem stanowisku 5 kozłów. Powinszować takiego zwierzostanu sarn!

R. J.

— W Toporowie, na polowaniu, które się odbyło w 10 do 12 strzelb w ostatnich czterech dniach stycznia, ubito 5 danieli, 37 rogaczy, 53 dzików, 51 zajęcy, 4 lisy i 1 borsuka.

— W Nikłowicach, majątku Andrzeja hr. Fredry, odbyło się polowanie dwudniowe 9. i 10. stycznia w 10 strzelb. Padło 77 zajęcy, 3 lisy i jeden rogacz. Gdyby nie wielkie śniegi, byłoby znacznie więcej zwierzyny padło. W Nikłowickiej kniei był dawniej mały stan zwierzyny, lecz obecny właściciel dokłada wszelkich starań, by tępić drapieżne ptactwo i ścigać kłusowników, których w okolicy co niemiara. *Z.*

— W Baranowie, dobrach p. Stanisława Dolańskiego, odbyło się polowanie w dniach 23., 24. i 25. stycznia. Polowano w 15 strzelb dwa dni w lesie, a jeden dzień w polach. Padło: 26 rogaczy, 6 lisów, 370 zajęcy, jarząbek i kuropatwa. Stan zwierzyny świetny, prowadzenie polowania wzorowe.

— W Uniżu, u p. Władysława Przybysławskiego, odbyło się dnia 28. i 29. stycznia polowanie w 10 strzelb. Strzelano do 15 dzików i 14 rogaczy, podniesiono 7 dzików, 11 rogaczy, 5 lisów i 55 zajęcy.

— Pod Przemyślanami, w dobrach hr. Romana Potockiego, odbyło się w bieżącym sezonie kilka polowań. W Krosienku d. 7. listopada r. z. ubito 10 zajęcy, 7 lisów, rogacza i jarząbka. Stan zwierzyny w tej kniei jest bardzo dobry, choć z powodu motylicy gorszy nieco niż w latach poprzednich, polowanie jednak odbyło się w porze, kiedy zając jeszcze w polu, lub trudno go z gąszczów ruszyć, rezultat więc nie odpowiedział w zupełności oczekiwaniom.

W pierwszych dniach grudnia polowano w 11 strzelb w Rozworzanach i w Sołowej, gdzie wzięto po kilka kociołkowych miotów. W Rozworzanach padło 27, w Sołowej 24 zajęcy. Polowania urządzane w tych dobrach odznaczają się wzorowem prowadzeniem i dobrym stosunkiem trafnych strzałów.

— W Glinianach, majątku hr. Potulickiego, ubito w grudniu r. z. w kilku polowych miotach w 7 strzelb 20 zajęcy, a 31. stycznia b. r. w dwóch niewielkich laskach w 10 strzelb 29 zajęcy. Mogło tu być wielkie zniszczenie rodu zajęczego, dzięki jednak dość licznym pudłom, a po części zimnej krwi i roztropności zajęcy, które lekceważąc sobie puste krzyki nagonki, przemykały się między chłopców, zostało ich dosyć na rok przyszły. W każdym razie, gęsta pukanina ożywiała polowanie, a nad wyraz uprzejma gościnność gospodarza zapisała ten ostatni dzień obecnego sezonu łowieckiego we wdzięcznej pamięci uczestników.

— W lasach Łahodowskich, powiatu przemyślańskiego, dzierżawionych przez p. Augusta Goławskiego, polowano d. 19. stycznia. W kniei tej, do niedawna zupełnie zaniedbanej, a nachodzonej ustawicznie przez licznych kłusowników, był pierwej wszelki zwierz rzadkością; od lat kilku dopiero wziął ją w swoją opiekę p. Goławski i nie żałując kosztów ni trudu, doprowadził już do dobrego stosunkowo zwierzostanu, a jest wszelka nadzieja, że stan ten będzie się jeszcze podnosił. W 11 strzelb padło 25 zajęcy i 3 lisy. Polowanie zorganizowane było wzorowo, chociaż teren tu jest dość trudny. Mile spędzony wieczór u gościnnego gospodarza, w wesołej kompanii myśliwskiej, był powodem, że drużyna łowiecka z żalem gospodarza żegnała, pocieszając się nadzieją, że da Bóg doczekać na rok przyszły, zwoła ją znowu w swe gościnne progi. *K. J.*

— W lasach Trójeckich i Huwnickich ubito w ciągu r. 1894 ze zwierzyny użytecznej: 41 rogaczy, 172 zajęcy, 8 kuropatw, 16 przepiórek, 17 chruścieli, 2 dzikie gęsi, 11 dzikich kaczek, 27 słonek, 14 jarząbków, 60 kwiczołów (na sidła złapano); ze zwierzyny szkodliwej: 18 dzików, 35 lisów, 3 wydry, 19 kun, 12 tchórzy, 2 łasice, 2 psy, 8 kotów, 10 jastrzębi. Ogółem 557 sztuk zwierzyny użytecznej i szkodliwej. *F. Lorenz.*

— W Przybysławicach, majętności p. Zygmunta Jordana odbyło się w dniach 17. i 18. stycznia b. r. polowanie na równiach w 15 strzelb i padło 140 zajęcy i 5 lisów. *M. Jabłoński.*

Z Królestwa Polskiego.

— W Skępem (pow. lipnowski) u pp. Zielińskich, w dniu 29. grudnia r. z. odbyło się polowanie w rewirze leśnym „Koziołek". W 11 strzelb ubito 5 kozłów, 180 zajęcy i 5 kuropatw.

— W Kroczewie u p. Kazimierza Czarnowskiego, na dwudniowem polowaniu, d. 28. i 29. grudnia r. z., 8 myśliwych zabiło 80 zajęcy, 3 lisy i 1 kuropatwę.

— W Siomkowicach (p. wieluński) u p. Ignacego Karśnickiego, w d. 27. grudnia r. z. w 14 strzelb w ośmiu miotach zabito 65 zajęcy, 9 kuropatw i cietrzewia.

— W Bałtowie u ks. Aleksandra Lubeckiego w d. 31. grudnia r. z. w 11 strzelb zabito: 4 dziki, 30 rogaczy, 570 zajęcy, 8 lisów i 1 jarząbka.

— W Woli Pękoszewskiej (pow. skierniewicki) u p. Jana Górskiego w 7 strzelb zabito 2 kozły i 120 zajęcy.

— W Brwinowie (pod Warszawą) u p. Lilpopa w d. 5. stycznia w 16 strzelb w 8 zakładach ubito 267 zajęcy.

— W Szuklach (pow. wołkowyski) u p. Gawrońskiego, w d. 3. stycznia, w 6 strzelb ubito 2 kozły, 87 zajęcy i 1 lisa.

— W Moszczynicy (pow. piotrkowski) u p. Wilskiego, w d. 5. stycznia w 20 strzelb w 5 pędzeniach w polu ubito 70 zajęcy.

— W Porycku (gub. wołyńska) u hr. Tadeusza Czackiego, w 5 strzelb ubito 4 dziki, 2 wilki, 2 rogacze, lisa i 5 zajęcy.

— W Łękach (pow. kutnowski) u p. Aleksandra Czarnowskiego w d. 7. stycznia w 6 miotach (5 w polu, 1 w olszynie) ubito: lisa, 257 zajęcy i 9 kuropatw. Najwięcej zabił p. Konstanty Orsetti.

— W Nieporęcie u hr. Augusta Potockiego, w d. 7. i 8. stycznia w 13 strzelb ubito 28 kozłów, 215 zajęcy i lisa. Królem polowania był p. Wiktor Reszke.

— W Żerominie (pow. łódzki) u p. Mazarakiego, d. 8. stycznia w 1 kotle i 3 zakładach w lesie zabito: lisa i 75 zajęcy.

— W Magnuszewie u hr. Zamoyskich, w d. 4., 5. i 7. stycznia polowano w 10 strzelb a 8-go w 7 strzelb. Przez te cztery dni zabito: 2 dziki, 3 rogacze, 906 zajęcy, 6 kuropatw, 7 lisów i 3 jastrzębie. Królem łowów był hr. Tomasz Zamoyski.

— W Turnie (gub. siedlecka) u p. Ignacego Popiela, w d. 7. i 8. stycznia w 10 strzelb zabito: 1 rogacza, 1 lisa, 128 zajęcy, 8 kuropatw i 2 jastrzębie.

— W Nieborowie u ks. Macieja Radziwiłła, w d. 9. i 10. stycznia na dorocznem polowaniu 15 myśliwych zabiło: 6 rogaczy, 5 lisów, 2 cietrzewie, 72 bażanty, 116 kuropatw i 703 zające.

— W Osieczu Wielkim u hr. Jana Bnińskiego w d. 3., 4. i 5 stycznia w 5 strzelb ubito: 507 zajęcy, 1 królika, 12 kuropatw, 2 bażanty i lisa.

— W Masłowicach u p. Kazimierza Kręskiego (w pow. wieluńskim) w d. 27. grudnia z. r. odbyło się polowanie, na którem 19 myśliwych w 3 kotłach i 4 miotach w lesie ubiło 154 zajęcy i 11 kuropatw. Królem polowania był dnia tego p. Feliks Radoński.

— W Zatorach (w pow. pułtuskim) u p. Józefa Iżyckiego odbyło się polowanie d. 30. i 31. grudnia. W 11 strzelb zabito 152 zajęcy, 5 kozłów i 2 lisy. Na tem samem polowaniu roku zeszłego padło zaledwie 45 zajęcy.

— W Pęcicach (w pow. warszawskim) u p. Antoniego Marylskiego, w końcu grudnia r. z. w 10 strzelb ubito 40 zajęcy, 1 lisa, 1 rogacza i 3 kuropatwy.

— W Zalęcicach (w pow. łaskim) u p. Karola Sulimierskiego, w d. 2. stycznia w 22 strzelby zabito 142 zajęcy i 6 kuropatw.

— W Wólce Marzyńskiej u p. Karola Siemińskiego. w d. 3. stycznia w 22 strzelby ubito 138 zajęcy i 12 kuropatw.

— W Osieczu Wielkim u hr. Jana Bnińskiego, w d. 3., 4. i 5. stycznia w 5 strzelb ubito 507 zajęcy, 1 królika, 12 kuropatw, 2 bażanty i 1 lisa.

— W Krzelowie (w gub. kieleckiej) u margr. Wielopolskiego, w d. 9. i 10. stycznia w 9 strzelb zabito: 4 rogacze, 1 lisa i 277 zajęcy. Królem polowania był p. Józef Trzebiński.

— W Rzeżewie (w pow. włocławskim) u p. Zygmunta Radońskiego odbyło się polowanie w d. 10. stycznia w 14 strzelb, na którem padło 129 zajęcy i 10 kuropatw.

— W Nieborowie u ks. Macieja Radziwiłła, w d. 10. i 11. stycznia 15 myśliwych ubiło 6 rogaczy, 5 lisów,

2 cietrzewie, 72 bażantów, 116 kuropatw i 703 zajęcy. Świetny ten rezultat łowów byłby prawdopodobnie jeszcze większy, gdyby nie zbyt obfity śnieg w kniei, który utrudniał działania nagonki.

— W Kruszynie u ks. Stefana Lubomirskiego, w d. 10., 11. i 12. stycznia odbyła się druga serya polowań. Pogoda była fatalna, śnieg sypał przez półtora dnia i straszna okiść utrudniała polowanie w najwyższym stopniu. Mimoto pierwszego dnia w 16 strzelb zabito 228 zajęcy i 3 kuropatwy. Drugiego dnia w 17 strzelb zabito 187 zajęcy i 1 bażanta. Wreszcie trzeciego dnia 18 myśliwych zabiło 264 zajęcy i 5 bażantów. Ogół więc zabitej zwierzyny w trzydniowem polowaniu wynosi 679 zajęcy, 3 kuropatwy i 6 bażantów. Wszystkie trzy dni polowano w lesie. Do rogaczy nie strzelano. Królem polowania był August hr. Potocki.

Następnie część towarzystwa kruszyńskiego polowała w Borownie u p. Adama Michalskiego w d. 14. i 15. stycznia. Pierwszego dnia zrobiono 2 pędzenia czeskie i jedno pędzenie zwyczajne w polu. Drugiego dnia polowano tylko w lesie. W 10 strzelb ubito w te dwa dni 601 zajęcy, 2 rogacze, 2 lisy, 1 bażanta i 18 kuropatw. Królem polowania był znowu August hr. Potocki.

— W Starżenicach (w pow. wieluńskim) u p. Józefa Łubieńskiego, polowano 12. stycznia w 11 strzelb i w 8 pędzeniach ubito 70 zajęcy, 2 rogacze i 2 kuropatwy. Królem polowania był p. Ignacy Bukowski.

— W Worońcu u ks. Cz. Mirskiego, w d. 12. stycznia w 9 strzelb ubito 92 zające, 1 cietrzewia i 1 kuropatwę.

— W Czaryżu (w pow. włoszczowskim) u hr Wł. Morsztyna, w d. 12. stycznia odbyło się polowanie, na którem padły 3 rogacze i 112 zajęcy.

— W dobrach Karsznickich (w pow. łęczyckim) u p. Adolfa Wernera, w d. 13. stycznia odbyło się polowanie, na którem w 2 zakładach w lesie i 3 zakładach w polu padło 110 zajęcy. Pogoda sprzyjała.

— W Chełmicy (w pow. lipnowskim) u p. St. Grabińskiego, w d. 14. stycznia ubiło 12 myśliwych w 5 miotach (3 w lesie, 2 w polu) 316 zajęcy, 3 rogacze, 2 lisy, 3 kuropatwy i 1 jastrzębia.

— W Kamieniu u p. Romockiego, w d. 14. stycznia odbyło się polowanie, na którem padło 148 zajęcy, 6 kozłów i 2 lisy.

— W Chociminiu u p. Zborowskiego, w d. 14. stycznia zabito 315 zajęcy, 4 kozły i 2 lisy.

— W Petrykach u pp. Rephanów, w d. 15. stycznia ubito 302 zające, 2 kozły i 2 lisy.

— W Repkach u p. Dorio-Dernałowicza, w d. 15. stycznia ubito 172 zające, 2 kozły i 1 cietrzewia.

— W Bielicach u ks. Pawła Woronieckiego, d. 15. i 16. stycznia w 12 strzelb zabito 301 zajęcy i kilkanaście kuropatw. Zakłady robiono w polu i zagajnikach. Królem polowania był hr. Leon Łubieński.

— W Kamionce (w pow. wieluńskim) u p. Witołda Rembowskiego, w d. 16. stycznia w 11 kotłach 9 myśliwych upolowało 83 zające i 7 kuropatw.

— W Więcławicach u p. Bronisława Kretkowskiego, w d. 16. i 17. stycznia 18 myśliwych zabiło 470 zajęcy, 2 rogacze, 6 kuropatw i dziką perliczkę.

— W Glinkach (w gub. łomżyńskiej) u ks. Woronieckiego, w d. 17. stycznia w 6 strzelb ubito 78 zajęcy, 1 lisa i 1 jastrzębia.

— W Łasku (w pow. łaskim) u p. Włodzimierza Kręskiego, w d. 21. stycznia 19 myśliwych w 2 kotłach i 7 miotach ubiło 65 zajęcy.

— W dobrach Kazimierskich (w gub. kaliskiej) u hr. K. Mielżyńskiego, w d. 21., 22. i 23. stycznia polowano w 5 strzelb i ubito 1017 zajęcy, 23 kuropatw i 3 lisy. Do rogaczy, których w lasach Kazimierskich jest bardzo wiele, nia strzelano wcale.

— W Siedliskach u hr. Leona Komorowskiego, w d. 24. stycznia w 18 strzelb zabito 118 zajęcy i 3 rogacze.

— W Oborach pod Wilanowem u hr. Potulickich, w d. 24. stycznia w 7 strzelb ubito 86 zajęcy, 1 rogacza, 1 lisa i 1 jastrzębia.

— W Brzyszewie (w pow. włocławskim) u p. K. Morzyckiego, w d. 24. stycznia polowano w 11 strzelb i ubito 130 zajęcy.

— W Łazach (w pow. sochaczewskim) u p. Ludwiki Karnkowskiej odbyło się polowanie, na którem 10 myśliwych zabiło 1 rogacza, 130 zajęcy i 4 lisy.

Z Litwy.

— W ordynacyi Dawidogrodzkiej ks. Radziwiłłów (w pow. mozyrskim, gub. mińskiej) odbyły się pięciodniowe łowy na dziki, na których w 11 strzelb położono 8 odyńców, 9 wycinków, 18 samur i 37 warchlaków, a nadto skłuto 9 sztuk i wzięto żywcem 5 sztuk. Królem łowów był hr. Tomasz Zamoyski. Polowano z sieciami.

KRONIKA.

Rysie rozmnożyły się od pewnego czasu w okolicy Stanisławowa. W samem państwie łysieckiem zabito ich w roku 1891. jedną sztukę, w r. 1893. cztery sztuki, w r. 1894. trzy sztuki, a w roku bieżącym d. 22. stycznia w rewirze lasów Posiecz ubito jednego wspaniałego rysia. W lasach pacykowskich ubito w tymże czasie dwie sztuki.

Walka z odyńcem. W Stróżach pow. grybowskiego d. 5. stycznia wytropił gajowy dworski 6 dzików w lesie i dał znać rządcy, p. Bronecowi. Bezzwłocznie zarządzono polowanie z nagonką. P. Bronec przybrał sobie trzech towarzyszy. Gdy nagonka ruszyła i dziki wypadły na linię myśliwych, stary odyniec puścił się prosto na p. Broneca. Ten strzelił z dubeltówki, ale postrzelił tylko odyńca, który wpadł do głębokiego parowu, a widząc się tam otoczonym, wrócił nagle, pędem uderzył na p. Broneca i z wściekłością chwycił go za kolano. Myśliwy rozpaczliwą stoczył ze zwierzem walkę, wołając o pomoc, albowiem w poprzednim pościgu za odyńcem stracił wszystkie naboje. Chłopi z nagonki przybiegli z siekierami i dobili dzika. P. Bronec doznał tylko skaleczenia dwóch palców u ręki.

Wilki. O niezwykłem rozmnożeniu się wilków donoszą z gubernii wileńskiej. Grasują szczególniej w puszczy Rudnickiej w powiecie trockim. W wielu wsiach porwały około 50 sztuk owiec i bydła. Rzucają się także na ludzi. Niedawno zagryzły 6-letniego chłopca.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.



„Zakonnik leśny“.

Dodatek do Nr. 2. „ŁOWCA“ z roku 1895.